№ 40. Warszawa, dnia 3 Października (21 Września) 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

GAŚNIĘCIE ŚWIATEŁ.

Skarga na złe czasy odzywa się i w łonie gazet. Co szeptano sobie w wieściach, co tłumiono w udawaniu, to dziś jest faktem, przez nikogo nieukrywanym: w ciągu ostatniego roku a najwyżej dwu lat blisko 10 tysięcy ludzi przestało abonować pisma warszawskie. Warto się nad tem zjawiskiem zastanowić, a *Prawda* uczynić to może tem bezstronniej, że przez cały czas swego istnienia ani razu nie zmniejszała swego nakładu, powiększała go zaś kilkakrotnie.

Kto szuka przy tym fakcie odpowiedzi, otrzymuje zewsząd jedną: ogólna bieda! Opłakuje ją również każdy sklep, każda restauracya, każdy zakład przemysłowy i handlowy. Że tak jest — wątpić trudno. Ale czy owa bieda doszła już do tej miary, że nie zostawia kilku rubli na strawę duchową w budżecie, którego rozchody inne krążą około tysiąca? Suma wszystkich abonentów prasy warszawskiej nie przechodzi 60,000: mniej więcej zatem jeden egzemplarz pisma przypada na 100—150 mieszkańców ludności polskiej w Cesarstwie i Królestwie. Niepodobna uwierzyć, ażeby temu stosunkowi odpowiadała możność wydania kilku rubli rocznie na prenumeratę, innemi słowy, ażeby zubożenie było tak wielkiem. Samo więc ono nie tłomaczy zagadki, którą objaśnić zdolna tylko psychologia społeczna. Wydatki na pismo peryodyczne i książkę mieszczą się u nas nie w rubryce potrzeb, ale w rubryce zbytku. Ponieważ zaś oszczędności zaczynają się od tej ostatniej, więc literatura odczuwa je szybko. Zauważyliśmy już dawniej, że niemiec, francuz, nawet norwegczyk lub czech ogranicza się naprzód w innych kierunkach — w kierunkach rzeczywistego zbytku, a czytanie uważa za potrzebę, której się wyrzeka jedynie w ostatniej nędzy. U nas czytelnictwo pism peryodycznych jest bardzo młode i zakorzenione słabo. To też gdy nam bieda w oczy zajrzy, z szampanem, strojami i kartami wyrzucamy przez okno książkę i gazetę. Dzięki tej ekonomii jeden z dzienników warszawskich, posiadający długoletnią wziętość i zamożnych abonentów, stracił z nich tylu, że ledwie istnieć może. Nic to nie znaczy, że nie rozwijał się, że zbyt ufał nałogom, że dziwnym, kretynim uporem zasłaniał starannie całą tę część życia umysłowego i społecznego, której nie sprzyjał — czynił to zawsze a stał mocno, czynią to inne organy a mają zwolenników. Podkopała go natura żywiołu, na którym się opierał — szlachta. Ubogi student nie zje objadu a opłaci prenumeratę pisma; pan wiejski łatwiej rozstanie się z gazetą, niż ze starką, zwłaszcza w czasie bezwojennym. Nie jest żądnym wiedzy, lecz ciekawym nowin; gdy nie znajdzie ich, odwraca się od literatury, nie ma do niej interesu. Ponieważ zaś obecne przesilenie ekonomiczne najmocniej dotknęło szlachtę, rejteruje więc ona z szeregów prenumeracyjnych gromadami.

Kto nie trzyma żadnego pisma peryodycznego, nie kupuje też żadnej książki — to fakt, który już odbił się w handlu księgarskim i powstrzymał ruch wydawniczy. Porównajmy wykazy bibliograficzne z przed 10 laty i obecne — co za olbrzymia różnica! Jedna firma Gebethnera i Wolffa sypała nowe druki jak z rogu obfitości — teraz upływają miesiące i nic świeżego nie ukazuje się na jej półkach. Niedawno tłoczono po kilka tysięcy egzemplarzy dzieła — dziś kilkaset nie znajduje zbytu.

Znamy wszyscy piosnkę o literaturze, która pozostała itd. Powyższy obrazek przekonywa, jak tę piosnkę mechanicznie powtarzały nasze usta bez udziału serca i rozumu. „Jedyne schronisko," niepodtrzymywane, wali się i dziurawi, a płytki sąd mniema, że na tej ruinie stracą tylko— przedsiębiorcy.

Nie z żadnych kramarskich, samolubnych pobudek, ale w uznaniu ogólnej szkody rozbudzamy zasypiającą w społeczeństwie świadomość obowiązków obywatelskich względem ojczystego piśmiennictwa. Kupujcie książki i prenumerujcie pisma, jakie chcecie, ale kupujcie i prenumerujcie. Wolimy widzieć czytaną *Gazetę warszawską* lub *Niwę*, niż nie widzieć nic. Wzmagająca się obojętność, nieusprawiedliwiona bynajmniej materyalnem ubóstwem kraju, skłonność do wegetacyi fizycznej, zasklepianie się w niskich pożądaniach i potrzebach — to objaw straszny, groźny, zapowiadający ową drzemkę, którą niedawno przezwyciężyliśmy. Niech ten ruch umysłowy, który tak wspaniale zadrgał przed kilkunastu laty rozwija się we wszystkich kierunkach, niech on wzmacnia nasze siły, w nim głównie się krzepiące. Jeżeli literatura przestanie być dźwignią naszego życia, to co nią będzie? Czy wysoka dywidenda, czy pomyślne załatwienie serwitutów lub wysoki kurs rubla? Aż przykro przypominać to, o czem każdy pamiętać winien, ale nastały takie czasy, że ludzie tracą z oczu najelementarniejsze prawdy, najkonieczniejsze obowiązki.

OBAWY I NADZIEJE.

Jest to uderzające, że władca ziem bułgarskich dokłada widocznie wszelkich starań, ażeby nienarazić się nikomu i nietylko wypadki umiejscowić, ale nadać im możliwie pokojowy charakter. Chyba też żaden bunt nie odbywał się w sposób tak elegancki. Dwu

baszów wzięto pod klucz—i dosyć! Ani potyczek, ani krwi rozlewu, ani nawet manifestacyi. Książe bułgarski zapewnia przytem, że nie chce naruszać „dobrych stosunków“ z Portą, uczestniczy w nabożeństwie za sułtana, którego ministrowie znowu naradzają się z posłem bulgarskim—słowem wszystko idzie gładko, przyzwoicie—jak w komedyi. I możnaby wierzyć w najspokojniejsze jej rozwiązanie, gdyby zewnątrz sceny nie gromadziły się i nie huczały „chmury“ od strony Serbii, Grecyi i Albanii. Skoro ogień rozpalony—czemu w nim nie upiec kartofli? Więc na gwałt wykopuje swoje cała gromada ludów bałkańskich: ci w Starej Serbii, ci w Epirze, Tessalii i Macedonii. Otóż to rozrywanie majątku za życia „chorego człowieka,“ majątku, o który procesuje się wielu spadkobierców, jest najniebezpieczniejszym objawem dla Bułgaryi. Napisano jej bowiem w gwiazdach: zwyciężysz, ale jeśli przykładem swoim nie pociągniesz innych do podobnej walki. Z tego proroctwa płyną wysiłki bułgarów i ich opiekunów w kierunku tamowania dalszego buntu. Powiększenie się jednego państewka, oderwanie się od Turcyi kawałka ziemi—to dla mocarstw europejskich może być obojętnem, a dla niektórych nawet pożądanem. Ale rewolucya na całym półwyspie Bałkańskim, w którym spoczywa węzeł tylu uroszczeń, praw, nadziei, rachub—autorom traktatu berlińskiego do smaku nie przypada. Mając jasną świadomość sztucznego układu stosunków, nie chcą oni rozwiązywać kwestyi odrazu, lecz kawałkami, w powolnym targu, który może wszystkich obdzielić. Plan ten wystąpił bez osłony na kongresie berlińskim, na którym znacznie obcięto żądania Rosyi w przedmiocie wyzwolenia ludów słowiańskich i nie dopuszczono tego, co dziś stało się siłą rzeczy i robót tajemnych.

Nikt chyba nie wątpi, że komenda straży porządku politycznego Europy będzie wysłuchaną zarówno w Sofii i Filipopolu, jak w Belgradzie i Atenach, oraz że wszelkie nieposłuszeństwo gromad bałkańskich byłoby szybko złamane; ale i to jest pewnem, że niezależnie od wyniku sprawy bułgarskiej wywrze ona wpływ na życie i dążenia innych ludów słowiańskich Półwyspu. Ten przykład bez skutków nie przepadnie. Pamiętajmy, że od powstania w Hercegowinie do dziś upłynęło lat niewiele, a ileż ono wywołało naśladownictw, ile zmian! Im mniej zostało splotów z gordyjskiego węzła, tem szybciej i łatwiej będą one się rozplątywały — pomimo ścieśniających je traktatów. Już dziś urzędowi przedstawiciele Serbii oświadczają: „Jeżeli Bułgarya zjednoczyła się, mocarstwa muszą zadowolnić życzenia innych ludów bałkańskich, w przeciwnym razie cały Wschód ogarnięty zostanie pożarem... Obecne wypadki przyniosą nam życie lub śmierć“ — śmierć naturalnie wtedy, jeśli Serbia odejdzie z próżnemi rękami. W tej deklamacyi puszy się dużo słów pustych, ale zawiera ona szczyptę prawdy, mianowicie, że prędzej czy później inne ludy bałkańskie pokuszą się o to samo, po co sięgnęła Bułgarya.

Życzymy jej szczerze powodzenia, tylko nie pod warunkiem tych uczuć, z jakiemi rękę wyciąga właśnie Serbia. Rzec można, że ona odgrywa tu najkomiczniejszą rolę — rolę silnego mocarstwa. Uruchomiła armię, przed którą nikt nie drży, a co gorsza przez rozmaite usta wyraziła swe oburzenie na bułgarów. Jakiś tam Ajaks belgradzki w Londynie oznajmił, że Serbia nie *pozwoli* (!) na przewagę któregokolwiek z państewek bałkańskich, a utrzymanie turków w Konstantynopolu uważa za niezbędne dla *równowagi* między narodami Półwyspu. Patrzcie, i to biedactwo już chce strzedz „równowagi!“ Ledwie na świat swobodnie głowę wytknęła, ledwie zdjęła kajdany, ledwie odetchnęła, już myśli o tamowaniu „przewagi“ innych i rozkazuje. Smutna, bo głupia naiwność! A, niestety, ludzka. Takim człowiek, takim naród każdy był zawsze. Dopóki jest niewolnikiem, czci i wysławia wszystkie szczytne zasady, gdy otrzyma wolność, natychmiast zapomina o nich i gotów je gwałcić na cudzej skórze.

Według ostatnich telegramów, mocarstwa zgodziły się na naradę ambasadorów w Konstantynopolu, która ma posłużyć za wstęp do osobnego kongresu. Ponieważ to konsylium zbiera się bardzo powoli, trudno więc powiedzieć, czy jaki nowy członek „choremu człowiekowi“ nie odpadnie i czy ruch bułgarski pozostanie w swem dotychczasowem łożysku. Gdy iskry ciągle przelatują nad składami najpalniejszych materyałów — namiętności politycznych, nowy wybuch jest co chwila możliwym. Naturalnie bułgarowie modlą się do swych bogów, ażeby on nie nastąpił.

NIESPODZIANKA BAŁKAŃSKA.

Wielki dzień nastał dla narodu bułgarskiego! Na półwyspie bałkańskim zaszedł fakt, sam przez się znamienitej doniosłości dziejowej, a mogący pociągnąć za sobą skutki nierównie jeszcze większe. Niby grom z jasnego nieba, spadła na Europę wiadomość, że Rumelia Wschodnia, ta „interesująca odrobina,“ twór margrabiego Salisbury'go, zrzuciła z siebie poddaństwo tureckie, ogłosiła się niepodległą i jako Bułgarya południowa połączyła się z siostrzycą swą północną — niezawisłem księstwem. Oczom się wierzyć nie chciało, gdy nadszedł telegram, donoszący, że generalny gubernator Rumelii, Gawriił basza

---

16)

ASPAZYA

DRAMAT W 5 AKTACH

ALEKSANDRA ŚWIĘTOCHOWSKIEGO.

(Wł. Okońskiego).

Perykles.

Stanęła przede mną olbrzymia góra obelg i kłamstw, którą pospiesznie i pracowicie usypały języki oszalałej złości, a która ma zgnieść tę moją ukochaną żonę. Czyż ja mogę całą tę górę roskopać, zważyć w niej przed wami każdy kamień potępienia, każdą bryłę potwarczego błota, każdą garść piasku, rzuconego wam w oczy, ażebyście prawdy nie dojrzeli? Chociażby mi pozwolila na to boleść, nie pozwoli odraza. Każdy z was zapewne znajdował się wobec przeciwnika, którego obaliłby jednem kopnięciem, a nawet kopnąć nie chciał; każdy spotykał się z obwinieniem, które odparłby bez trudu, a powstrzymany wstrętem nie odpierał. Najnędzniejszy człowiek ma to przeświadczenie, że jego charakter tylko od pewnej miary może być wątpliwym i dla posądzeń dostępnym, w stopniach zaś niższych jest zabezpieczonym przeciw podejrzeniom. Gdybym któregokolwiek z was, obywatele, oskarżył o znęcanie się nad niewolnikami, inni uznaliby to za możliwe; ale gdybym go oskarżył o zjadanie żywcem niewolników, nikt by mi nie uwierzył bez oczywistych dowodów. Bo również każdy człowiek nosi w sobie skalę prawdopodobieństwa czynów ludzkich, za pomocą której odrazu ocenia rzetelność wszelkich zarzutów. Przypuszczam, że i wy ją posiadacie w swojem sumieniu, że i wy spostrzegliście potworność oskarżenia, zanim ja ją wam wskazać zdołałem. Istotnie, czemże według Hermipa i jego wspólników, czy tam rozkazodawców, jest Aspazya? Rozpustną heterą, uwodzicielką niewinnych dziewcząt, gospodynią miłostek swego męża, szkodnicą świętych gajów, bezmyślną a zuchwałą szkalownicą bogów. Licznymi strumieniami rozpuszcza ona zepsucie po ziemi, a ponieważ nieba nie może dosięgnąć i zakazić, więc miota ku niemu bluźnierstwa. Ta trucicielka moralna roztacza naokoło siebie tak zabójczy wpływ, że w nim giną najgenialniejsze umysły i najtęższe charaktery. Przyznajcie, że tyle okropności możnaby rozdzielić między kilka kobiet i jeszcze każda byłaby rzadkim okazem swojego rodzaju. Poczwary, łączącej w sobie wszystkie to brzydoty, natura nie stworzyła, zrodzić ją zdolna tylko wyobraźnia podłości. Tak, jest to duchowy płód Hermipa, niepotwierdzony, jako rzeczywisty, przez nikogo. Już nie mówię o zeznaniach Sofoklesa, Sokratesa, Protagorasa, którym chciano wykraść z ust jakiś dwuznaczne słowo i wykrętnie zużytkować; ale czegoż dowiedli inni świadkowie? Niewolnik Traks, widocznie przekupiony, wyparł się ze strachu wszystkiego; Tucydydes zaś i Diofites powołali się na moich najserdeczniejszych przyjaciół—nieobecnych, którzy nie mogą tu stanąć i zaprzeczeniem przypisywanych im kłamstw wtłoczyć ich nazad w gardła oszczerców. Jeśli Aspazya tak jawnie i wszędzie, siała zarazę moralną, czemuż tu nie sprowadzono tłumu jej kochanków i ofiar, czemuż nie zebrano licznego orszaku owych pchniętych przez nią do upadku niewiast, lecz musiano aż fałszować żale wygnańca i nieboszczyka? Zaciekła nienawiść, nieprzerażona ani majestatem niedoli, ani śmierci, zgwałciła świętokradzko obie. Serca moich przyjaciół były ciągle przede mną otwarte i nie widziałem w nich nic, prócz lekceważenia lub wzgardy dla tych, którzy mienią się ich powiernikami. Tucydydes, który Anaksagorasa pozwał, był niegodziwym, ale Tucydydes, który tułacza zniesławia, jest nikczemnym; Menon, który hańbił Fidyasza żywego, był bazyliszkiem, ale Diofites, który hańbi umarłego, jest hieną. Występował w tej sprawie—niestety—jeszcze jeden człowiek. Wolałbym, ażeby mi było ukazało się widmo ojcobójcy; ale skoro już człowiek ten stanął, niechże świadczy przeciwko swoim rodzicom—przybranym. Wiadomo wam, że z pierwszą moją żoną rozwiodłem się. Prosiła, ażeby przy niej zostawić dwóch naszych synów; zgodziłem się, bo ich kochała, nie przestawałem wszakże czuwać nad ich wychowaniem. Chorowity, młodszy wcześnie umarł; starszy, tymczasem dojrzewa-

Krestowicz, został uwięziony, a jego miejsce zajął tymczasowy rząd narodowy. Zdumienie było tem większe, że przewrot nastąpił bez krwi rozlewu, że nastąpił w całym kraju równocześnie i że nagłą zmianę stosunków ludność przyjęła z zapałem wprawdzie, ale zapałem spokojnym, bez zamieszek ze strony malkontentów, jak gdyby na zmianę tę przygotowaną była oddawna. Tak też było w istocie.

Zapiszmy przedewszystkiem fakty, które w zwięzłem przedstawieniu wyglądają tak. Rewolucya, która objęła przedewszystkiem całą milicyę, wybuchła w nocy z dnia 18 na 19 września, albowiem wczesnym rankiem w sobotę wszystkie gmachy rządowe były już przez wojsko narodowe obsadzone. Nad słowiańskim Płowdiwem (Filipopolem) nie powiewał już ani jeden sztandar turecki, ale wszędzie chorągiew o barwach bułgarskich. Wieść o tem rozeszła się, niby iskra elektryczna, po całym grodzie i wraz z nią zebrały się niezliczone tłumy narodu przed pałacem generał gubernatora... Wtedy generał Stojanowicz odczytał manifest, ogłaszający złożenie z urzędu i uwięzienie namiestnika sułtańskiego, Gabryela Krestowicza, zniesienie władzy tureckiej, ustanowienie tymczasowego rządu narodowego i połączenie Rumelii z Bułgaryą pod panowaniem księcia Aleksandra. Na czele rządu narodowego stanął dr. Stransky.

Radość zapanowała między ludem... *Južna Blgarija slobodna! Blgarija sojedinena!...* Cudowne sny rozpalonych głów spełniły się tak nagle, w tak uroczej, wspaniałej pełni! A wszakżeż to niedawno jeszcze czasy, siedm — ośm lat zaledwie, jak turek był wyłącznym panem ziemi bułgarskiej, którą łupił gorzej od kraju nieprzyjacielskiego, mordując mężów, gwałcąc niewiasty... Do wczoraj jeszcze płacił (miał płacić! *Red.*) bułgar haracz Porcie, sługą jej był i cudzą wolę spełniał. Dziś wolny... Wolny! Czy rozumiecie ten wyraz, wy, wszyscy kupcy świata?...

Lud cieszył się i bratał z wojskiem, a tymczasem rząd narodowy zawiadomił telegraficznie wszystkie gminy w kraju o spełnionym fakcie i wysłał depeszę do księcia Aleksandra z prośbą o objęcie rządów. Około południa nadeszła odpowiedź ze Srjedca (Sofii), w której książę oświadcza, że ofiarowane mu rządy przyjmuje i wyjeżdża do Płowdiwa, wydając równocześnie rozkaz natychmiastowej mobilizacyi armii bułgarskiej i zwołania *Narodnego Sobranija* na sesyę nadzwyczajną.

W taki oto sposób artykuły 13 i 20 traktatu berlińskiego zostały nagle przekreślone... Dla lepszego zrozumienia stosunku Rumelii do Turcyi i ocenienia zmian, jakie zaszły w dotychczasowym stanie rzeczy, przypominamy odnośne postanowienia traktatowe. Artykuł 13 mówi o utworzeniu na południu od Bałkanów prowincyi pod nazwą Rumelii Wschodniej z pełnym samorządem administracyjnym, ale pod bezpośrednią polityczną i wojskową władzą sułtana. Na podstawie art. 15 czuwać ma nad wewnętrznym porządkiem milicya krajowa, której oficerów mianuje sułtan. Wojska tureckie przekroczyć mogą granice Rumelii w razie niepokojów, ale tylko na wezwanie generalnego gubernatora. Art. 17 przepisuje, że gubernatora mianuje Porta w porozumieniu z innemi mocarstwami.

Artykuły te i paragrafy przestały nagle rumeliotów obowiązywać. Już to wogóle taki jest los wszystkich traktatów: raz łamią je rządy, to znów ludy, a tylko dzieci polityczne wierzą w nie jeszcze i powołują się uparcie na jakiś tam np. rok... piętnasty!...

Zjednoczenie Bułgaryi nie jest jeszcze atoli faktem dokonanym, a przynajmniej nieodwołalnym. W polityce, a zwłaszcza w polityce wschodniej, dzieją się często istne cuda, zwroty tak nagłe i niespodziewane, jak — nieszukając daleko — w obecnym wypadku. Niebezpieczeństwo wtargnięcia wojsk tureckich nie minęło jeszcze i na bój z nizamami i baszybuzukami, bój może ostatni, ale walny, lud bułgarski, bądź co bądź, uzbroić się musi. Czyni on też przygotowania w tym kierunku na wielką skalę. Turcya wprawdzie, jeżeli chce być lojalną i wystąpić w obronie traktatu berlińskiego, nie powinna przekraczać granic Rumelii, bo jej zabrania ten sam właśnie traktat berliński — cóż ją jednak obowiązywać mogą wszelkie postanowienia międzynarodowe, gdy chodzi o jej śmierć lub życie na półwyspie bakańskim, o dalsze istnienie w Europie?

Przed wkroczeniem do Rumelii zawahać się może Porta jedynie ze względu na stanowisko, jakie zajmą mocarstwa, podpisane na traktacie berlińskim. Owóż najważniejszem jest pytanie: jakiem będzie owo stanowisko? Do chwili, gdy artykuł ten piszemy, znanem ono jest o tyle, że możemy już wysnuć pewne wnioski. *Journal de Saint-Pétersbourg* wita radośnie połączenie Bułgaryi południowej z północną, przypominając, że polityczna organizacya Rumelii wschodniej jest dziełem kongresu berlińskiego, że zatem wzięcie ostatnich wypadków pod rozwagę jest rzeczą mocarstw, podpisanych na traktacie. Znaczy to innemi słowy, że Rosya odmawia Turcyi prawa załatwienia kwestyi rumelijskiej na własną rękę.

W bardziej dyplomatyczną minę ustroił się *Fremdenblatt*, organ austryackiego ministerstwa spraw zagranicznych. Wyraża on zdumienie i zaniepokojenie z powodu nielegalnych wypadków w Rumelii, a wreszcie nadzieję, że ruch ten zostanie ograniczony... No, to dosyć wyraźnie powiedziane, że Austro-Węgry nie życzą sobie dalszego rozszerzenia granic Bułgaryi, ale z tem, co zaszło, godzą się zupełnie.

Dodajmy do tego, że konsul angielski w Filipopolu wyraził się wobec nowego rządu jaknajsympatyczniej o zmianie stosunków, a nie trudno nam już przyjdzie wywnioskować, że mocarstwa rozbiorowe mają widocznie zamiar zagrodzić Turcyi marsz na Płowdiw i Sofię.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że węzła tej zadziwiającej zgody szukać należy w małej mieścinie morawskiej — w Kromieryżu. Przewrót w Rumelii, oddawna przygotowany i tak długo odwlekany, że aż przestano nań zwracać uwagę, wymagał zgody, bez której nie mógłby mieć widoków powodzenia. Tem się też tłumaczy gładkość, z jaką go dokonano.

Bezkrwawa rewolucya rumeliotów wyjaśnia z drugiej strony ciemniejsze karty kromieryzkiego pamiętnika. Zgodność stanowiska dworów wiedeńskiego i petersburskiego w zakresie rozdzielającej je do-

---

jąc, zaczął objawiać zło skłonności i nałogi, których zarodku w jego dzieciństwie nie dostrzegałem: pił i z bogatą młodzieżą ateńską szargał się w najrozwiozlejszych hulankach. Napomnienia przyjmował ode mnie naprzód obojętnie, potem zuchwale, aż wreszcie wypowiedział mi posłuszeństwo i szacunek. Długo nie mogłem wyśledzić źródła, z którego czerpał środki na takie życie; nakoniec odkryłem, że go zaopatruje w nie kilku arystokratów, a zwłaszcza żona pewnego bogacza—z jakim zamiarem, domyślacie się ze złożonego wam pisma, oraz z zamierzonego tu potępienia ojca i macochy świadectwem syna. Nie będę rozbierał tej ohydy, wydobyłem ją bowiem po to, ażeby na jej tle odbiła się wyraźniej przewrotność oskarżycieli, ażeby wam oświecić jeden szczegół, przed którym nawet pijany i starannie w potwarzy ćwiczony Ksantyp się wzdrygnął. Poślubił on kobietę, godną lepszego losu, którą zaniedbywał i wraz z dziećmi w nędzy pogrążył. Dowiedziawszy się o tem, Aspazya wyznaczyła nieszczęśliwej stały zasiłek, który często wypłacała dwukrotnie, gdy go marnotrawca złowił i strwonił. I o tej Aspazyi miał on zeznać, że nakłaniała do nieuczciwego zboczenia jego żonę, której przytem wcale nie znała! Zaiste, język ludzki umie popełniać jeszcze większe zbrodnie, niż ręka! Przykład ten niech was pouczy, jak w robocie naszych oskarżycieli zmieniała się prawda.

I w jakim celu dokonano tego bezczelnego jej fałszerstwa? Aspazya piękna, rozumna, z przesądów rozpowita, śmiała, czynna, sławna, filozofami otoczona i przez nich podziwiana, niewątpliwie budziła drapieżne zawiści i nienawiści; ale ostatecznym celem ataku jestem tu ja. Nie z prostego przypadku ginęli wszyscy, którzy stali najbliżej mnie. Pierwszy padł Efialtes, później Anaksagoras i Fidyasz, teraz przyszła kolej na Aspazyę. Ponieważ nie zdołano mnie zgładzić, usiłowano przynajmniej osamotnić i zniechęcić. Cios obecny, jeśli nie chybi, sprowadzi ów tak długo pożądany skutek. Rachuba prosta i—przyznaję—dobra, że Aspazya nie zejdzie sama z tego świata, lecz z Peryklesem, który ją kocha i ubóstwia, który bez niej żyć by nie chciał. Czyż taka nadzieja nie nęci? Czy dla niej nie warto spodlić się? Tyle razy daremnie pozywano mnie przed sąd narodu, tylo razy probowano zgnieść najazdem spartańskim, tyle sideł ominąłem, uderzeń odbiłem i boleści wycierpiałem—a tu bez żadnej walki, bez oporu ustąpię, w grób lub na wygnanie, dokąd poślecie moją najdroższą towarzyszkę której zawdzięczam najlepsze natchnienia i najszczęśliwsze pomysły. Może ja zresztą już jestem dla was, dla państwa zawadą i ciężarem, jak stary niewolnik, który wysłużył się, stracił siły, do pracy niezdatny, a żyje uparcie. Jeżeli szukaliście sposobności pozbycia się go, chwyćcie tę—łatwą i wygodną. Czekam tylko rozkazu, gdzie mam odnieść moją głowę. Ale nie zostańcie, obywatele, z tem przekonaniem, że odejdę zgnębiony występkami tej kobiety, skoro ją potępicie. Odejdę dumny nią, chociaż w obliczu prawa zawiniła. Po wargach oskarżycieli przewinął się, widzę, radosny uśmiech. Tak, zawiniła, bo myślała—głęboko i głośno. Tradycya i ustawy poczytują to kobiecie za grzech większy, niż podrzucenie dziecka. Cała mądrość naszych ideałów niewieścich tkwi w odgadywaniu, drażnieniu i nasycaniu pragnień męskich. Gdyby kto kamienną statutę ogrzał i nauczył ruszać się, niezawodnie znalazłaby kochanka. Najcenniejszym przysmakiem dla wybrednych moralistów jest piękne i wonne ciało głupiej kobiety. Rozum, według nich, to gorycz w tym najsłodszym z owoców ziemi. Jeżeli dawne a nieuchylone dotąd prawo 100 drachmami karze niewiastę, która wyszła bez zasłony; jeśli jej nie wolno słuchać w teatrze komedyi; jeśli pewien pisarz grecki wysławia to, że nikt w Atenach nie jadłby z cudzą żoną; jeśli znana arystokratka chwaliła się przed mną, że jej córki nie przeczytały ani jednego wiersza Homera, to rzeczywiście grzeszną jest Aspazya, która odsłaniała swą twarz na ulicy, obcowała z uczonymi, czytała dzieła poetów i filozofów, rozprawiała o najwyższych przedmiotach wiedzy. Przecież to znaczy, że wiodła życie rozwiązłe! Słyszę śmiech i oklaski dla Hermipa we wszystkich przybytkach rozpusty. Bo najgorszej ladacznicy nie śmiałby on przed was sprowadzić i oskarżyć, gdyż rzekłaby wam tylko: takie jest moje zajęcie —i musielibyście ją uwolnić. A czy kobieta myśląca swobodnie może powiedzieć sądowi: takie jest moje zajęcie? Bynajmniej. Rozpusta bowiem stanowi zawód uprawniony,

tychczas polityki wschodniej świadczy, że węzły przyjaźni pomiędzy dwoma sąsiedniemi mocarstwami zacieśniły się w Kromieryżu znacznie więcej, niż w Skierniewicach. I już tylko czekajmy, rychło wejdzie na porządek dzienny ukochana przez ks. Bismarka sprawa ostatecznego wcielenia Bośnii i Hercegowiny do monarchii austro-węgierskiej.

Niezrozumiałą jest w tej chwili jedynie postawa Anglii, którą wyjaśnić sobie można chyba tylko obawą wobec odosobnienia, w jakiem Wielka Brytania znalazła się naprzeciw zwartego przymierza trójcesarskiego.

Jeżeli rachuby nasze nie są mylne, staniemy tedy wkrótce wobec faktu, że Bułgarya zajmie na półwyspie bałkańskim jedno z najpoważniejszych stanowisk. Młode księstwo południowo-słowiańskie obejmuje obecnie 63,972 kilometrów kwadratowych z 2,008,000 mieszkańców. Rumelia wschodnia ma zaś obszaru 35,901 kilometrów kwadr. z 816,000 mieszkańców (w liczbie tej: 575,000 bulgarów, 175,000 turków, 43,000 greków, 20,000 cyganów, 4,000 żydów itd.). Zjednoczona Bułgarya obejmowałaby tym sposobem 99,873 kilom. kwadr. z 2,824,000 ludności, stanowiłaby tedy wśród „drobiazgów“ bałkańskich wcale pokaźną siłę.

Na ten wzrost narodu pokrewnego nie możemy spoglądać inaczej, jak tylko sympatycznie. Takiem było zawsze pisma naszego stanowisko w kwestyach narodowo-politycznych, a zwłaszcza w najbliższych nam słowiańskich. Powie ktoś może, że „inni szatani grają w tych sztukach główną rolę“... Niewątpliwie! Ale i to pewna, że niepotrzeba być czułostkowym słowianofilem, aby zrozumieć, że idea sprawiedliwości, bez względu na to, czyjemi rękami jest urzeczywistnianą, popycha ludzkość naprzód i zwolna wkłada czynniki jej poszczególne w harmonię prawdy i dobra.

Rewera.

UNIWERSYTET BRUKSELSKI.

W roku przeszłym, w miesiącu listopadzie, uniwersytet brukselski obchodził pięćdziesiątą założenia swego rocznicę. Na pamiątkę obchodu tego Rada administracyjna uniwersytetu poleciła p. L. Vanderkindere napisanie szkicu historycznego, który wyszedł pod postacią dużej księgi ćwiartkowej, obejmującej ciekawe szczegóły, dotyczące i powstania i rozwoju tego ze wszech miar ciekawego zakładu naukowego — ciekawego przez to mianowicie, że został zaimprowizowany i pomimo to, pomimo że nie tylko zapomóg ze skarbca publicznego nie pobierał, ale musiał zwalczać usiłowania, mające na celu obalenie go, utrzymał się i rozwinął.

Bruksella do dnia 20 listopada 1834 r. nie posiadała pełnej szkoły wyższej. W wieku XV książe Jan IV powziął był zamiar założenia w niej uniwersytetu; lecz mieszczaństwo brukselskie, w obawie demoralizacyi, jakaby wynikła z powodu obecności znacznej liczby młodzieży w mieście, wyprosiła się od tego zaszczytu. Skutkiem tego uniwersytet został (1426) założony w Louvain. W r. 1788 Józef II, pozostawiając w Louvain wydział teologiczny, inne przeniósł na krótko do Brukselli, która też w epoce zaboru francuskiego nie posiadała kursów nauk wyższych. Dopiero Napoleon I otworzył w niej 1806 r. szkołę prawa, a 1810 wydziały nauk i literatury. Ani szkoła prawa jednak, ani wydziały nie utrzymały się po upadku cesarstwa. Pozostał jeno otworzony przez niejakiego pana Terrade zakład prywatny, przez municypalność wspierany, w którym odbywały się sekcye i wykładano „wszystkie gałęzie sztuki leczenia.“ Zakład ów rozwijał się; w r. 1813 nauczało w nim sześciu profesorów; w r. 1834 wcielił się w uniwersytet.

Holandya zorganizowała była w Belgii wychowanie publiczne; rewolucya r. 1830 rozprzęgła je całkowicie, ogłosiła swobodę nauczania i wprowadziła do tej dziedziny chaos, z którego następnie Belgia przez lat kilka, a właściwie do r. 1849, wybrnąć nie mogła. Stronnictwa liberalne i katolickie, sprzymierzone przeciwko Holandyi, po wyzwoleniu kraju z pod panowania obcego sojusz zerwały. Kościół wyniósł z walki prerogatywy ogromne. Biskupi zamierzyli edukacyę w ręce swoje wziąść i, z odmętu korzystając, pospieszyli się z otworzeniem 4 listopada 1834 r. uniwersytetu pełnego w Malines na zasadach, wypowiedzianych w dniu otwarcia przez rektora, monsignora de Ram. „Będziemy walczyli—słowa jego—ze wszystkich sił naszych, z całej duszy naszej w obronie religii i doktryn świętych, dla demaskowania odszczepieństwa i obłędów nowatorskich, dla szczepienia wszelkiej nauki pochodzącej od świętej stolicy apostolskiej, dla potępiania wszystkiego, cokolwiek nie wypływa z tego źródła dostojnego.“

Otworzenie uniwersytetu biskupiego stało się powodem zamieszek po miastach, między innemi w Liège i wysadziło uniwersytet w Brukselli, który inaczej byłby zapewne do skutku nie doszedł. Stworzyło go spółzawodnictwo. Myśl podał A. A. Baron, a wykonawcą jej stał się Teodor Verhaegen, członek loży masońskiej *Przyjaciół-filantropów*. Za sprawą jego loża wzięła na siebie dokonanie dzieła: odwołała się do publiczności, ogłosiła składkę i zgromadziła 45,000 franków.

Za 45,000 franków, to jest, według kursu owczesnego, za 11,250 rubli, założonym został uniwersytet brukselski o czterech wydziałach: wydział filozoficzno-literacki, prawa, nauk politycznych i administracyjnych, nauk ścisłych, lekarski; katedry zajęło profesorów trzydziestu ośmiu. Śród nich czytamy nazwisko Joachima Lelewela (Historya i gieografia starożytna), Lelewel jednak nie wykładał. Tak szczupły fundusz byłby nie starczył na utrzymanie wszechnicy, gdyby z pomocą nie przyszła municypalność, która dała lokal i zobowiązała się płacić 30,000 fr. rocznie. Rada ogólna szpitalów oddała na użytek profesorów medycyny szpitale, amfiteatry i zbiory. Uniwersytet przybrał nazwę *Uniwersytetu wolnego belgijskiego*; w roku jednak 1842 nazwał się: *Uniwersytetem wolnym brukselskim.*

Jak widzimy przeto, nic bardziej nosić na sobie nie może cechy improwizacyjnej,

---

filozofia — nie. Hetera, któraby zniszczyła całą młodzież grecką, urągałaby wszystkim sądom, podczas gdy filozofkę, rozmyślającą nad pochodzeniem gwiazd, na żądanie pierwszego lepszego wolno i należy ukarać śmiercią. W Atenach bezpieczniej szerzyć zarazę, niż naukę. Chociaż nietylko w Atenach... Każdy naród tłucze wielkich ludzi, jak orzechy, dla wydostania z nich ziarn, któremi się karmi. Niejeden już promień światła strzelił z ciemnic więziennych, niejedna wielka idea namaszczona została krwią męczeńską. Gdy geniusz odezwie się do ludzkości, ona mu naprzód odpowie klątwą, a później dopiero błogosławieństwem. Głupota włóczy się po utartym i strzeżonym gościńcu, mądrość przerąbuje sobie drogę przez gęsty i stary las, w którym ją napastują jadowite gady i drapieżne zwierzęta. Społeczeństwo zbudowane jest dla karłów, olbrzymy kaleczą sobie czoła o jego niskie wiązania. Ażeby zaś nie uszkodzili i nie rozbili tej budowy, trzeba ich powalić i skrępować lub odciąć im głowy. Wy właśnie macie to uczynić z Aspazyą. Wyrosła w Atenach kobieta — olbrzym, która nie mieści się w tradycyjne komórki, która je rozpycha i łamie, który po nad tłumem wznosi się jak palma po nad krzewami, zrąbcie ją lub zetnijcie wierzchołek, skoro tego żąda Hermipos, a prawo pozwala. Ale nie mniemajcie, że wasz topór święty, on tylko ciężki i ostry. Gdyby go trzymały pokolenia, żyjące przed tysiącem lat, spuściłyby go niezawodnie na wasze szyje, bo bylibyście dla nich bezbożni i niemoralni; jeśli go zaś ujrzą w waszych rękach pokolenia, które za tysiąc lat żyć będą, nazwą was mordercami. Z nietykalnych wierzeń pradziadów my dziś szydzimy, a naszych nietykalnych prawd prawnukowie również nie oszczędzą. Przy naszych bowiem słupach granicznych świat w rozwoju nie zatrzyma się, lecz wywróci je, pójdzie dalej i zatknie sobie nowe. Czy zaś możecie być pewni, że za wami kończy się postęp myśli ludzkiej, że te zasady, za które sądzicie Aspazyę, nie będą wyznawane powszechnie? Jeśli wasz wzrok sięga aż do ostatnich kresów istnienia świata i widzi, że wasza wiedza, wasza wiara przetrwa wszystkie burze i wszystkie przewroty w wiecznej niezmienności, zabierzcie mężowi żonę a dzieciom — matkę i poświęćcie ją na ofiarę swym bogom. Ale jeżeli w sumieniu waszem utaiła się najmniejsza wątpliwość, posłuchajcie jej przestrogi, ażebyście płaszczem sprawiedliwości nie okryli zbrodni. Niech wam uczciwe serce da dobre natchnienie, niech wam jasny rozum da mądrą radę, niech wasz wyrok będzie słowem prawa. (*schodzi z mównicy, zbliża się do Aspazyi i całuje ją*). Żono droga! Potwarz nas rozdzieliła, ale wyrok złączy i padnie na dwoje.

Archont.

Rozprawa sądowa zamknięta. Przysięgli złożą uniewinniające gałki białe w urnę prawą, a potępiające czarne w lewą. (*Przysięgli w znacznej większości napełniają urnę prawą, kilku—lewą*).

Metronomos.

Głosowanie skończone.

Archont (*zajrzawszy w obie urny*).

Liczenie gałek zbyteczne. Wyrokiem sądu oskarżona Aspazya uznana została niewinną.

Perykles.

To głos tego samego narodu, któremu służyłem! (*Sofokles, Sokrates i Protagoras otaczają rozrzewnieni Aspazyę, do której stóp rzuca się i całuje jej kolana gromadka młodych niewolnic*).

Kilku obywateli (*schwyciwszy Hermipa*).

Pod sąd oszczercę!

Aspazya (*wyjmuje sztylet i rzuca Hermipowi*).

Mnie już niepotrzebny, ale może jemu się przyda.

Protagoras.

Do krajania chleba zarobionego hańbą *)

Warszawa—Ostrów.

K O N I E C.

---

*) Nie chcąc zbyt długo wytrzymywać uwagi czytelników, dramat ten wydrukowałem w pewnem skróceniu, z opuszczeniem wielu objaśnień scenicznych i historycznych, które umieszczone będą w wydaniu osobnem, jeśli ono okaże się potrzebnem. *Autor.*

jak założenie tego uniwersytetu. Jego powstanie natrafiło odrazu na trudności, które zwalczać należało. Bez pieniędzy spółzawodniczyć trzeba było z uniwersytetem malińskim, mającym do rozporządzenia fundusze dostateczne i ogromne wpływy duchowieństwa. Wpływy te ciążyły na składkach i odciągały od Rady administracyjnej ludzi, których obecność pożyteczną by była. Mimo to i Rada administracyjna się złożyła i profesorowie, po większej części niepłatni, znaleźli się i środki naukowe się zgromadziły. Na wykłady, rozpoczęte w listopadzie 1834, zapisało się dziewięćdziesięciu sześciu słuchaczy: 12 na filozofią, 17 na prawo, 14 na nauki ścisłe, 53 na medycynę.

Powstanie uniwersytetów wolnych oddziałało na rząd, który ze swej strony pomyślał o zakładach wyższych naukowych, i w r. 1835 przeprowadził przez izby „Prawo organiczne nauczania wyższego.“ Prawo to z trzech, przez rząd holenderski utworzonych uniwersytetów, dwa—gandawski i lieżski—brało na koszt skarbu, trzeci, louvaiński, znosiło, albo raczej, opuszczało. Pozostawał on do wzięcia a spółubiegali się o niego: rada administracyjna un. brukselskiego i biskupi. Ci ostatni zwyciężyli. Rząd oddał im uniwersytet: lokale, bibliotekę, zbiory i zapisy stypendyalne — wnet też uniwersytet z Malines przeniesiony został do Louvain i wszedł w posiadanie zasobów, nagromadzonych przez cztery wieki; brukselski znalazł się wobec trudności nowych, powstałych stąd, że do spółzawodnictwa z nim wystąpiły, zamiast jednego, trzy zakłady, zasobne w środki pieniężne. Rząd i biskupi profesorom płacili: nastąpiły z powodu tego ucieczki z Brukseli do Gandawy, Liège i Louvain. Ministerstwo zachowywało się względem szkoły brukselskiej nieprzyjaźnie. Gdy otworzoną została szkoła wojskowa, minister wojny, Buzen, zabronił profesorom, uczącym w niej, wykładać w uniwersytecie, a minister spraw wewnętrznych niespodzianie, w środku roku szkolnego, wypróżnić kazał zajmowany przezeń budynek. Przytem składki w coraz to zmniejszającej się wpływały ilości i rachunki wykazywały niedobór ogromny — 10,980 franków w r. 1828. Rozwinąć więc należało energię wielką, ażeby módz na wsze strony czoło stawić.

Uniwersytet brukselski zawdzięcza istnienie swoje mieszczaństwu stolicy, które nietylko zakładowi upaść nie dało, ale przykładem własnym pociągając przedmieścia i gminy na prowincyi, mnożyło mu zapomogi i pozwoliło w powolnym, ale ciągłym rozwoju przebyć szczęśliwie przesilenie. Zakończyło się ono w r. 1847, kiedy władza przeszła do rąk ministerstwa liberalnego. Zmiana ustawy o wychowaniu publicznem zrównała go pod względem praw z uniwersytetami rządowymi; miasto postawiło kosztem własnym gmach, w którym się on mieści obecnie; podtrzymywało go siłami całemi i to sprawiło, że zakład zbogacił się najprzód szkołą aptekarską, następnie (1873) politechniczną. Dziś jest to uniwersytet pełny, funkcyonujący porządnie i regularnie, mający przyszłość zapewnioną i niepobierający z kasy państwowej szeląga złamanego.

„Dzieło, którego uniwersytet brukselski dokonał w ciągu lat pięćdziesięciu—powiada p. L. Vanderkindere—będzie on dalej prowadził i ulepszał. Pracę swoją rozpoczął w chwili, kiedy Belgia nie była jeszcze obudzoną do życia naukowego... Lecz po mału idee się rozszerzyły; miłować zaczęto badania bezinteresownie i pojęto, że naród, jeżeli w sercu swojem nie daje miejsca prawdzie, nie posiada wielkości moralnej.“ I dalej: „Dewizą naszą: *postęp*, a tem mniej o nim zapominać możemy, że Belgia, kiedy naszą pięćdziesiątą obchodzimy rocznicę, przebywa przesilenie, od którego zależy cała przyszłość narodu szczęśliwego i niepodległego (aluzya do prawa szkolnego, przeprowadzonego przez ministerstwo katolickie). Gdyby zamiary złowrogie ludzi, których od pół wieku pokonywamy, odniosły zwycięstwo, gdyby nienawiść do oświaty przewagę wziąść miała nad miłością nauki, gdyby prześladowanie wszystkiego, co wielkie i szlachetne, raz jeszcze okryło wstydem nieszczęśliwą ojczyznę naszą, stała by się ona prędko, jak była niegdyś, igraszką i ofiarą ambicyi zewnętrznych...“ „Ale — kończy autor — przyszłość tak posępną nie jest; stolica Belgii nie należy jeszcze do reakcyi i bardziej aniżeli kiedykolwiek uniwersytet brukselski stawi czoło przedsięwzięciom ultramontańskim, niby forteca mająca za zadanie bronić wolności, prawa, sprawiedliwości i prawdy.“

Przy neutralności uniwersytetów rządowych, brukselski ma istotnie w Belgii, przyduszonej przez klerykalizm, zadanie do rozwiązania bardzo ważne. I odpowiada mu. Miejsce nie pozwala mi wyliczać profesorów i ich prac, jako też doktorów filozofii, prawa, nauk ścisłych i medycyny, z których pierwsi wykładali, drudzy słuchali w tym uniwersytecie improwizowanym. Niektórzy zajęli śród uczonych miejsce zaszczytne. Ilość słuchaczy podlegała zrazu wahaniom: od 96 doszła w roku 1839—40 do 279, następnie spadała i od r. 1844 stala się podnosić zaczęła; w r. 1883—84 zapisało się 1686 młodych ludzi.

Pod względem organizacyi uniwersytet ten nie różni się od innych. Sprawami naukowemi zajmuje się senat, któremu przewodniczy wybierany co roku z grona profesorów rektor. Profesorowie dzielą się na zwyczajnych, nadzwyczajnych, docentów i asystentów. Nad szkołą czuwa Rada administracyjna z dwudziestu członków składająca się: z prezydenta, inspektora-administratora, z rektorów wchodzącego i wychodzącego, z siedmiu członków stałych wyznaczonych przez radę, z dwóch delegatów rady gminnej brukselskiej, z delegata rady prowincyonalnej, z delegata rady ogólnej szpitalów, z delegata stowarzyszenia związku słuchaczy dawnych i po jednym profesorze z każdego fakultetu i ze szkoły politechnicznej. Radzie adm. przewodniczy zawsze burmistrz miasta Bruxelli. W charakterze tym uniwersytetowi usług najwięcej oddał Karol de Brouckere; obecnie stanowisko to zamuje p. Buls, człowiek bardzo zacny i bardzo rozumny.

Najpierwszą Radę adm. wybrali fundatorowie, to jest ci, co się złożyli na pierwotnych 45,000 fr. Liczba ich jest długa; figuruje na niej dziesięć nazwisk polskich: Butny podpułk., Brochowski kap. ułanów, Kruszewski pułkownik z 2-go strzelców konnych, Lesrzcywski (?) kap. sztabu główn., Deschenofsky (?), Hora z 8-go liniowego, Michałowski z artyleryi i dwóch Bendów. Z pomiędzy słuchaczów doktorem prawa wyszedł Oboziński; doktorami nauk politycznych i administracyjnych: Kosakowski Konst., Mierzejewski (zapisany Mierzejewski Cte Miecislas-Szeliga (?),) Rycerski Jan Kazim., Uhrynowski Eug.; doktorami medycyny: Grużewski Flor., Jasiński Hip. Z cudzoziemców na prawie i na naukach polityczno-administracyjnych najwięcej było rumunów, na medycynie brazylijczyków. Do słuchania nauk dopuszczono od lat kilku kobiety.

T. T. Jeż.

KSIĄŻNICA RACZYŃSKICH
w Poznaniu*).

Chcąc nie chcąc, czytelniku, musisz zwiedzić ze mną bibliotekę publiczną Raczyńskich. Zobaczysz piękny pałac, zbudowany na wzór paryskiego Luwru i położony w najpiękniejszej części miasta (Wilhelmsplatz). Lecz nie obawiaj się, nie będę cię nudził długimi opisami... Zapoznam cię od razu z „bohaterem“ samym. Edward hr. Raczyński — to jeden z naszych prawdziwych mecenasów, przytem sam autor *Dziennika podróży do Turcyi, odbytej w roku 1814, Wspomnień Wielkopolski z 1842 r.* i *Gabinetu medalów polskich*, niestrudzony wydawca dzieł historycznych i literackich w liczbie kilkudziesięciu (między innymi *Pamiętników* Paska i Radziwiłła, *Listów* Jana III, *Poezyj* Zalewskiego i Goszczyńskiego), tłomacz, literat, artysta i antykwarz, gromadził zewsząd skarby piśmiennicze, wspierał uczonych i artystów, słowem był nietylko opiekunem, ale zarazem i krzewicielem ruchu umysłowego. Wszystko to jednak nie wystarczało dla ruchliwego umysłu magnata poznańskiego. Rzucił się zatem w wir życia społecznego i tu zasłużył się wielce jako fundator publicznych gmachów i instytucyj. Założył dzisiejszą bibliotekę miejską w Poznaniu, zobowiązał się do założenia tamże szkoły realnej i asfaltowych chodników — ostatnie dwie propozycye odrzuciła gmina poznańska — zbudował własnym kosztem szpital cmentarny, założył wodociągi w najuboższej części miasta, utworzył stypendya, (o 3,000 m.) starał się o założenie fabryki cukru i jedwabnictwa, ofiarował 450,000 m. na połączenie Narwi z Wisłą, wzniósł kościół w Zaniemyśli, kaplicę w Rogalinie; jemu zawdzięczamy głównie wspaniały grobowiec Mieczysława I i Bolesława Chrobrego w Poznaniu. Raczyński sięgał dalej: działalność *polityczna* miała wypełnić serce i umysł obywatela patryoty... Był więc jednym z najczynniejszych posłów sejmowych t. z. „Posener Provinzionallandtags,“ a gdzie mógł, śmiało występował przeciwko uciskowi narodowości polskiej przez prusaków.

Niestety tę różnorodną, wielostronną a skuteczną działalność psuły do połowy wady temperamentu i wykształcenia. Z natury krewki nie miał Raczyński dostatecznej energii, ani wytrwałości do przeprowadzenia najrozmaitszych planów, wyrastających szybko w głowie jego; z drugiej strony ambicya, która popychała go do czynów wielkich, wystawiała swoje rożki i tam, gdzie one były niepotrzebne. W pismach jego i wydawnictwach naukowych czuć na każdej karcie polihistora i dyletanta: dość powiedzieć, że miał ten niechwalebny zwyczaj zmieniać dowolnie tekst rękopisów przez dodawanie lub opuszczanie całych zdań. W przekładach własnych dzieł na języki obce widać tylko wielką pretensyonalność. W działalności społeczno-politycznej nie wychodził po za granice staroszlacheckiego konserwatyzmu, był przeciwny zaprowadzeniu konstytucyi, zniesieniu cenzury, ponieważ, jak powiadał „uważał ten hamulec za niezbędną obronę kościoła i religii...“ Samobójstwo wreszcie, które przerwało pasmo dni tego, bądź co bądź, niestrudzonego pracownika odsłoniło do reszty fałszywą ambicyę mecenasa. Gdy w drodze składek zebrano przeszło 20,000 talarów na wybudowanie kaplicy i grobowca dla Mieczysława I i Bolesława Chrobrego, on z własnej szkatuły wystawił im pomnik (dzieło Raucha)

*) *Katalog der Raczyński'schen Bibliothek in Posen bearbeitet von M. E. Sosnowski und L. Kurtzmann.* Posen Hofbuchdruckerei W. Decker, 1885 I 58, 441 i 485, II 953, III 669. IV 277.

z szumnym napisem: „ofiarowane do kaplicy Piastów przez Edwarda Nałęcza hr. Raczyńskiego.“ Wówczas zarzucano publicznie hrabiemu, że stroi się w obce piórka, że przypisuje sobie wyłącznie zasługę, należącą do całego narodu, a gdy za tem oświadczyło się czternaście głosów na sejmie (przeciw 27), dotknęło to śmiertelnie magnata, który wydał przeszło milionowy majątek na cele publiczne... W styczniu 1845 kazawszy w swojej obecności zetrzeć ów napis, wstąpił na czółno, zaopatrzone małą armatą, a odbiwszy nieco od brzegu — wypalił. Strzał armatni roztrzaskał mu głowę. Przed samą śmiercią napisał list do proboszcza miejscowego, aby mu przebaczył, że samobójstwem dał zły przykład jego owieczkom...

Przepraszam was za ten długi wstęp, ale trzeba było koniecznie powiedzieć całą prawdę; biografia bowiem p. Sosnowskiego, bibliotekarza Raczyńskich, umieszczona na czele nowego katalogu, jakkolwiek pracowita, przedstawia fundatora w zbyt różowem świetle. Droga ta pozytywna wydawała mi się korzystniejszą niż wytykanie usterek i szczegółyków jednostronnie zestawionych we wspomnianej książce.

Z instytucyj Raczyńskiego zasługuje na szczegółowszą uwagę jego biblioteka, której dzieje opisał dokładnie p. Kurtzmann. Raczyński, zebrawszy rozproszone przez zniesienie zakonów biblioteki klasztorne, zakupiwszy prywatne w Poznaniu, Wrocławiu, Dreźnie i Berlinie bogate zbiory rękopisów (głównie od Niemcewicza, za 300 dukatów) oddał 1829 r. całą swą bibliotekę do użytku publiczności, ofiarując pałac i 132,000 zł. na jej utrzymanie. Dziś wynosi jej majątek przeszło 170,000 marek. Zarząd instytucyi objęła kuratorya, z założyciela, a po nim z jego syna Rogera, z prezydenta, marszałka i burmistrza poznańskiego. Syn Rogera a wnuk założyciela hr. Edward II nie miał już wedle statutów żadnego prawa do biblioteki. Przyszło nawet do tego, że kuratorya wytoczyła mu proces i wyrugowała z pomieszkania wnuka założyciela... bratanicc zaś jego hr. Karol musiał drogo okupić wstęp do kuratoryi... Kierownictwo książnicy objął po Łukaszewiczu i Poplińskim p. Sosnowski, który do dziś urzęduje jako bibliotekarz. Powoli zwiększał się zbiór, częścią przez kupno dzieł, częścią przez dary: hr. Konstancyi Raczyńskiej (córki Szczęsnego Potockiego), prof. Muczkowskiego, króla Fryderyka Wilhelma IV, itd., tak że skromna książnica Raczyńskiego urosła dziś do 24.000 dzieł, 1,300 rękopisów i 230 dokumentów, zregestrowanych w katalogu kartkowym, a obecnie podanych do druku w 4 potężnych tomach. Systematyczność i gruntowność, z jaką dokonali tego dzieła pp. Sosnowski i Kurtzmann, zasługuje na najwyższe uznanie. Żal nam tylko, że praca ich należy już przez połowę do literatury niemieckiej. Jeżeli tak dalej pójdzie—nie łudźmy się pochlebnem wezwaniem p. Kurtzmanna do sławetnych kuratorów—zakład Raczyńskich stanie się instytucyą germańską. A szkoda byłoby, bo są w tej książnicy nieocenione skarby, zwłaszcza w dziale rękopisów. Wymieniam co ważniejsze: naprzód odnoszące się do dziejów literatury. Przedewszystkiem własnoręczny autograf Malczeskiego Maryi (wyraźnie Malczeskiego nie Malczewskiego) datowany przez autora 25 czerwca 1825. Najwięcej jest autografów Niemcewicza, dalej idą Poezye Morsztyna, (*Psyche*) Drużbackiej, (Załuska). Ciekawy jest zbiór wierszy do słynnego Jaxy Marcinkowskiego. Na drugim planie stoi literatura wschodnia i klasyczna, trochę więcej rękopisów ma teologia, najwięcej zaś historya. Znajdziesz tu ułamki Długosza, Orzelskiego, Tomicyanów, ale najwięcej rękopisów zebrał Raczyński do czasów Zygmunta III. Osobny dział stanowią t. z. Radziwilliana. Zbiór dokumentów jest niewielki, choć sięga od 1088 do 1741, odnosi się zaś do klasztorów: Paradies, Lubin, Obra i Wągrowiec. Z licznych inkunabułów wypisuję: Eneasza Sylwiusza, Alberta III, Aristotelesa, Augustyna, Bonawenturę, Tomasza z Akwinu i Gersona. Inwentarz dzieł polskich—stosunkowo najliczniejszych—wykazuje ogromne braki książek nowszych. Tak np. niema Kalinki *Sejmu czteroletniego*, Korzona *Dziejów wewnętrznych za Stanisława Augusta*, nie spotykasz się nawet z imieniem Jeża, Lama, Okońskiego, Prusa, Orzeszkowej, Konopnickiej itd., a nie zapominajmy, że to przecież książnica polska na kresach—zagrożonych niemieckimi bagnetami i niemiecką oświatą.

H. B.

Z AUSTRYI.

O położeniu parlamentarnem. — Czardasz polityczny nad Pełtwią. — Pomyłka lwowskiej tromtadracyi. — Na jakiej podstawie zrekonstruowano solidarność prawicy. — „Do ut des“ Koła polskiego. — Co mówią o tem nasi przeciwnicy. — Produkcya w wyższej ekwilibrystyce ultramontańskiej. — Precz z niedorzecznością.

Wszystko pozostanie, jak było. Położenie parlamentarne w niczem się nie zmieni, pomimo że na widownię wystąpiło kilka nowych stronnictw. Parlament w nowym swoim składzie dzieli się, jak dawniej, na dwa wielkie obozy: na prawicę tworzącą większość i na lewibę złożoną obecnie z dwóch niemiecko-opozycyjnych stronnictw. U steru władzy pozostaje gabinet hr. Taaffogo, posiadający zawsze niezachwiane zaufanie korony. Wszyscy ci przeto, którzy zapowiadali jakąkolwiek zmianę położenia, omylili się bardzo. Zapowiadano ją szczególnie ze Lwowa, gdzie od czasu wycieczki do Budapesztu szowinizm wyłącznie galicyjski zaczyna rosnąć jak na drożdżach. Twórcy wspomnianej wyprawy snać myśleli, że otwierają nowy okres polityki galicyjskiej, albo raczej, że przywrócą stary program, który upatrując we wszystkiem, co słowiańskie, „panslawizm,“ radził wchodzić w przymierza z bratankami:“ węgrem i turkiem, nie pomny na to, że w imię wolności własnej uprawniał niewolę pobratymców. Stronnictwo to wzdychało też potajemnie i do dziedzicznego a największego wroga, do niemców, gotowe za misę soczewicy sprzedać im siebie i innych. Otóż „tromtadracya“ lwowska, odtańczywszy czardasza w stolicy węgierskiej, nakrzyczawszy aż do zachrypnięcia „*eljen!*“, nabrała widocznie odwagi i, jak żaba udająca konia w bajce, głosząc niedorzeczną swą „politykę wolnej ręki,“ chciała przemawiać o tem w imieniu całego kraju i Koła polskiego: kto bowiem czytał wypracowania niektórych organów nadpełtwiańskich o położeniu w Wiedniu, a był przytem nie obeznanym ze stosunkami, musiał przypuszczać, że Koło polskie puściło się także w pląsy czardaszowe na nutę piosenki o „polityce wolnej ręki,“ że w dalszym następstwie solidarność prawicy złamana, a większość parlamentarna w dawniejszym swoim składzie przeszła do historyi. *Gazeta narodowa*, która w przystępie ekonomicznego bzika każe kupcom galicyjskim wiązać się z wiedeńskimi, z budapeszteńskimi fabrykantami, chociaż węgrzy, jak powszechnie wiadomo, posiadają bardzo słabo rozwinięty przemysł—przekonana jest tak silnie, iż Koło polskie już poszło za jej radą i istotnie puściło się na manowce „wolnej ręki,“ że nawet żadną miarą wierzyć nie chce doniesieniu swego własnego korespondenta wiedeńskiego, który napisał zgodnie z prawdą, iż przedstawiciele Koła polskiego wzięli udział w konferencyi mężów zaufania prawicy.

Tymczasem, powtarzamy to z naciskiem, położenie pozostaje niezmienione, a co do prawicy, to solidarność jej wychodzi z ogniowej próby wszelkich rad niedorzecznych bardziej wzmocnioną. Prawica bowiem wstępuje na widownię parlamentarną z jasno określonym programem, czego dawniej nie bywało, a ustrój jej znajduje tym sposobem trwałą spójnię. Mając na uwadze rozprzężenie i apatyę, cechujące schyłek ubiegłego sześciolecia parlamentarnego, trzeba taki zwrot nazwać nad wszelkie oczekiwanie szczęśliwym i pomyślnym. Koło polskie miało do swoich sprzymierzeńców niemieckich konserwatystów słuszny żal z powodu ich opozycyi przeciwko załatwieniu sprawy regulacyi rzek galicyjskich. Niemieccy klerykaliści grozili znowu ze swej strony rozbratem, jeśli prawica nie zechce popierać ich wstecznych dążności. Żądali oni rewizyi ustaw o szkołach elementarnych w duchu wyznaniowości, na co pod żadnym warunkiem Koło polskie zgodzić się nie mogło. Podczas feryj parlamentarnych przedstawiało się położenie tem bardziej nie różowo, że niektórzy przewódzcy klerykałów, jak Lienbacher i Zallinger, grozili zupełnem zerwaniem z prawicą i utworzeniem osobnego klubu „niemieckich konserwatystów,“ którego zadaniem być miało przeciwdziałać uroszczeniom słowian. Od swoich żądań ani na włos nie chcieli ustąpić. Mimo to zasiada dziś ten sam p. Lienbacher w klubie ks. Lichtensteina i jest nadto członkiem komitetu wykonawczego prawicy.

Jakim sposobem wzięły rzeczy podobnie niespodziewany obrot?

Oto zgodzono się powszechnie działać na podstawie rozszerzenia autonomii krajów, mianowicie, żeby ustawodawstwo o szkołach elementarnych przenieść w sferę działania sejmów krajowych, a wówczas klerykalni niemieckich krajów alpejskich będą mogli sobie urządzić szkolnictwo, jak im się podoba, nie narzucając bynajmniej swoich wstecznych dążności innym. Niechaj o swoich szkołach stanowią niemcy, a polacy, czesi itd. o swoich. Jest to sprawiedliwa zasada, niemogąca nikogo razić prócz centralistów, którzy nadając jednakowe ustawy niejednakowym krajom, tamowali tym sposobem rozwój potęgi państwa. Na tej więc podstawie wznosi się teraz solidarność prawicy, na podstawie prawdziwie autonomistycznej, a dlatego też i trwałej. Klerykaliści są zadowoleni, a inni także.

Musimy atoli przy tej sposobności zaznaczyć powną niewłaściwość w Kole polskiem ze strony niektórych jego członków. Przy obradach nad programem politycznym podniósł p. Grocholski a za nim jeszcze dobitniej p. Chrzanowski sprawę regulacyi rzek galicyjskich i umorzenia długu państwowego tytułem galicyjskiego funduszu indemnizacyjnego w ten sposób, że rząd pozostaje „dłużnikiem“ Koła, skoro wbrew swojemu przyrzeczeniu nie zdołał przeprowadzić załatwienia obu przedsięwzięć. Rzecz jednak traktowano niemal z kupieckiego stanowiska, ponieważ p. Chrzanowski wręcz i otwarcie podniósł: *do ut des* do jedynej zasady, którą się polityka polaków wobec gabinetu i sprzymierzonych stronnictw kierować powinna. Nie jesteśmy bynajmniej zwolennikami platonizmu i wiemy bardzo dobrze, że zadaniem Koła polskiego jest starać się przedewszystkiem, ażeby rany ekonomiczne, zadawane temu krajowi przez rządy germanizacyjno-centralistyczne, przyprowadzić nareszcie do zabliźnienia. Jednak nie znaczy to jeszcze, żebyśmy sami mieli piętnować naszą politykę jako wyłączny frymark i stawiali rzecz tak, że za każdy krok, za każde głosowanie musimy otrzymywać zapłatę. Ta-

kie stawianie kwestyi naraża powagę Koła polskiego na szwank nietylko wobec przeciwników, ale także i w oczach sprzymierzeńców. Chodzi tu, że tak powiemy, przedewszystkiem o formę przyzwoitszą. Możemy żądać nawet jeszcze więcej i powinniśmy żądać, ale tylko nie tak, żeby to wyglądało, że nic innego, tylko brzęcząca moneta jest sprężyną naszych czynności, że gotowiśmy się sprzymierzać dziś z tym, jutro z innym, kto tylko da więcej. Takie postępowanie sprzeciwia się godności wszelkiej reprezentacyi parlamentarnej i słusznie też daje powód wrogom naszym do podnoszenia przeciwko nam ciężkich zarzutów. Posłuchajmy, co z tej przyczyny powiada *Deutsche Zeitung*: „Wedle doniesień polskich dzienników o przebiegu ostatecznego posiedzenia Koła polskiego, musimy zapytać, czy to Koło jest akcyjnem stowarzyszeniem lub też domem handlowym, skoro miarę łokcia i kwarty podnosi do zasady swojej polityki? Każdą swoją czynność, każdy krok chciałoby wedle proklamowanej przez p. Chrzanowskiego dewizy: *do ut des* obrócić w pieniądz, a przy takim postępowaniu nie będzie trudnem dla opozycyi obliczyć dokładnie, ile guldenów i centów kosztować będzie państwo każde głosowanie Koła polskiego.“

Smutno jest, że musimy znosić bez odpowiedzi podobnie złośliwe najgrywanie się naszych wrogów politycznych*).

Na tem samem posiedzeniu Koła występował nowo wybrany poseł ksiądz Chotkowski jako. ekwilibrysta ultramontański. Mąż ten świętobliwy wyrwał się jak istny Filip z konopi z żądaniem, żeby Koło wydelegowało go do podjęcia rokowań z „duchownymi“ dla obmyślenia środków przeciwko „pogańskiemu prądowi czasu,“ który zagraża kościołowi katolickiemu. Nie wiemy, czy zaprowadzenie świętej inkwizycyi lub też urządzenie nowej wyprawy krzyżowej przeciwko „poganom nowożytnym“ leżało na sercu wnioskodawcy, ale to pewna, że wystąpienie jego było charakterystycznym prądem czasu, o tyle przynajmniej, że tego rodzaju pachołkowie, jako „przedstawiciele narodu“ mogą się wciskać pod patronatem powag krajowych do Koła polskiego. Bajań ks. Chotkowskiego nie zniósł inny ksiądz, członek Koła, ponieważ odparł je „w interesie kościoła.“ Szczególny też był to pojedynek rewerendy przeciwko rewerendzie, a smutną wielce rzecz, że Koło polskie na przysłuchiwaniu się podobnym niedorzecznościom tracić musi czas drogi.

S.

*) Nie trzeba się łudzić — polityka jest handlem i tylko handlem, który posiada swoją odrębną logikę i rujnuje marzycieli a zbogaca samolubów. Czy zaś targ w tym handlu odbywa się w formach mniej lub więcej przejrzystych, to istoty rzeczy nie zmienia. Na urąganie *Deutsche Zeitung* odpowiedzieć można prosto: wyjmij wprzód z oka swego belkę. *Red.*

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

J. H. Lewes **Historya filozofii od Tolesa do Comte'a**, wolny przekład A. Dygasińskiego, Warszawa.

Dzieło Lewesa naukowej ścisłości nie posiada. Autor nietylko nie zbadał należycie i bezpośrednio przedmiotu, ale, chcąc uczynić je przystępnym, poświęcił przystępności—dokładność. Wiadomo, że pewne systematy filozoficzne wymagają koniecznie dla odcyfrowania ich osobnego klucza, który zwykłym językiem zastąpić się nie da; jeżeli zaś klucz ten jest potrzebnym w rozumieniu nowszych, to cóż mówić o starożytnych, gdzie myśl rozwija się nieraz w całkiem odmiennych kategoryach. Lewes podjął trudne zadanie przetłomaczenia dziejów filozofii na język powszechnie przyjęty. W znacznej części dokonał tego bardzo szczęśliwie, ale w wielu wypadkach pogwałcił prawdę. Napisał książkę, którą czytać można łatwo, ale której bezwzględnie wierzyć trudno.

Dla naszego więc ogółu jest to nabytek dobry i zły: dobry, bo dostępny dla szerszego koła czytelników, zły, bo uczy nie ściśle. Dotąd wyszły zaledwie dwa zeszyty; po ukończeniu druku książki zajmiemy się nią szczegółowiej. Tu jeszcze tylko zaznaczamy dziwną jej cechę. Już praca Lewesa—jak rzekliśmy—jest wolnym przekładem dziejów filozofii; tymczasem tłomaczenie p. Dygasińskiego jest znowu „wolnym przekładem“ oryginału. Z dwóch „wolnych przekładów“ może powstać rzecz nazbyt... swobodna.

W. D. Gutowski **Przed ożenkiem**, obrazek ludowy w I akcie ze śpiewkami, Warszawa.

Organista wstrzymywał ożenienie się Stacha z Marcysią, chcąc ją sam zaślubić. Zręczna wszakże dziewczyna zdemaskowała go i przyspieszyła upragniony związek.

To treść. W formie autor usiłował podrobić mowę ludową, co mu się tylko częściowo udało. Mowa ta bowiem przetkana gęsto wyrazami, których chłop albo nie używa, albo nie w tej formie, np.: spieszwa, każda, widoczne, może itd. Wynika z tego nieraz dziwaczna gwara, która utrudnia rozumienie rzeczy zarówno słuchaczowi ukształconemu, jak prostemu. Konieczną tu jest jakakolwiek zasada: należy albo wiernie naśladować mowę ludu, albo tylko jego sposób myślenia; makaronizowanie wytwarza cudactwa.

G. Kohna. **Rocznik (VIII) samborski**, wydawnictwo na cele dobroczynne. Przemyśl, 1885, str. 227.

Książkę powyższą warto przejrzeć nie dla jej literackiej wartości, ale ze względów społecznych: odbija ona bowiem wiernie smutny stan społeczeństwa i piśmiennictwa prowincyonalnego w Galicyi. Wydawca tych *Roczników*, izraelita z Sambora, samouk i lichy tłomacz, ale bardzo ruchliwy i czynny na „polu literackiem,“ (wychowaniec Gillerów i Żulińskich), jeździ od miasta do miasta, zachwalając swoje wydawnictwo, które tym sposobem wiedzie już ósmy rok opłakany żywot. Do miasteczek galicyjskich dochodzą rzadko lepsze dzieła. Drobna szlachta, urzędnicy i szczupła garstka mieszczaństwa karmią się papką, przyprawioną przez duchowieństwo, albo fabrykatami (przeważnie drażniącymi romansami) firmy Łukaszewicza. Na Podolu galicyjskiem, tj. w kraju egipskiej ciemnoty, jest jedyną strawą umysłową: kalendarz. Wogóle zaś prowincya uważa czytanie za stratę czasu, a na kupowanie książek nie stać ludność biedną i ze wszech stron wyzyskiwaną.

W takich warunkach mogłyby wydawnictwa p. Kohna spełniać nawet pewną cywilizacyjną misyę. Niestety do tego trzeba większych sił umysłowych i materyalnych, niż on je posiada. Przekonywa nas o tem ostatni *Rocznik samborski*, który z porównaniu z poprzednimi znacznie postąpił naprzód, ale ze względu na dzisiejszy stan oświaty europejskiej cofa się *co najmniej* o sto lat wstecz.

Przypatrzmy mu się bliżej.

Kontyngensu współpracowników i współpracowniczek dostarcza głównie prowincya; osoby to nieznane, najczęściej młode pisklęta literackie, z zielonymi dziobkami. P. Kohn wydobył je z ukrycia, nie szczędząc ciepłych słów zachęty i jeszcze skuteczniejszego od nich środka—druku, mającego dla tej kategoryi ludzi jakiś dziwny urok, i tym sposobem zebrał koło siebie wątłą i nikłą drużynę Apolina, pokrywając swoimi łachmanami jej goliznę.

Serdeczne stosunki, jakie tym sposobem nawiązuje wydawca z autorami, objawiają się przedewszystkiem przy wprowadzeniu ich do *Rocznika* mniej więcej w tych wyrazach: „Pracę tę po dokładnem przeczytaniu uznaliśmy za kwalifikującą się do druku“ (stopień pierwszy); „Pod tytułem X. ogłaszamy *przecudny ustęp* utalentowanej autorki „Wieczornych dumań,“ który niewątpliwie *podniesie imię i znaczenie* szanownej autorki“ (stopień celujący). Autorowie odwdzięczają się znów swemu opiekunowi pięknem za nadobne: „Wielmożny pan Gothilf Kohn wydawca i redaktor „Roczników samborskich“ *łaskawie* przyjąć *raczy* jedną z pierwszych prac autorki „Wieczornych dumań.“ A że p. Kohn nie chce być dłużnikiem, pali więc co prędzej wierszowaną bajkę i „poświęca“ ją „w dowód głębokiej czci autorce „Wieczornych dumań.“

Ale tą wzajemną adoracyą przesiąkła cała atmosfera galicyjska od marszałka do pachołka. Szukajmy więc bardziej znamiennych czynników, właściwych tylko „prowincyi.“ Ze wszystkich niemal płodów *Rocznika* wieje duch sentymentalny, romansowy dawno minionej epoki. Miłość idealna, platoniczna królując tu wszechwładnie, karząc bezwzględnie wszelkie przeciw niej wykroczenia. Oddających jej należny hołd zmienia w aniołów; nie potrzebują oni jeść, pić, spać — bo kochanek a względnie kochanka starczy im za wszystko. Temi platonicznemi ideami oddycha np. powieść owej autorki „Wieczornych dumań“ (Janiny Antonowiczówny), zatytułowana *Rozmaici* wistocie bez rozmaitości, gdyż romans Sylwerego z Olgą, Karola z Maryą i znów Karola z Wandą i Ludwika z Wandą wypełnia nietylko kochających, ale całą powieść razem z jej autorką do tego stopnia, że prawda życiowa i psychologia padają ofiarą niewolniczego idealizmu. Sentymentalizm ten, skojarzony z konwencyonalną, niby górną formą, cechuje poezyę prowincyonalną *Rocznika*, pozbawioną, podobnie jak jej prozaiczna siostrzyca, zdrowszej myśli a przebraną w te dawno wyszargane i zużyte sukienki romantyczne. Poezya ta wypełnia niestety jeszcze potężną kartę życia prowincyi i jest najsłabszą stroną *Rocznika*. Wszędzie, naturalnie, szeroko otwiera usta skarykaturowany patryotyzm i społeczne zacofanie. W „myślach Kraszewskiego“ występuje szanowny ten pisarz jako męczennik, co mówię, święty. Z poezyi Nowakowskiego p. t. „Zgasły pochodnie“ dolatują cię „żale i jęki za staremi ideami, złożonemi do grobu,“ za „staremi cnotami,“ za „starą miłością,“ za „starem poświęceniem.“ Najpocieszniej odmalowane są nasze dążenia. Dla nas

„Nic nie jest świętem—ni praojców kości,
Ni dawna wiara—ni dawne świętości.
Nikt nie jest bratem—nie potrzeba wiary,
Ojczyzna, wolność—to znikome mary.
Miłość to pęta—przyjaźń poświęcenie,
Cnota braterstwo—Bóg—to urojenie!
Serce to tylko mięsa cząstka mała,
Namiętność panem—duch sługalcem ciała“ itp.

Podobną tendencyą głosi wiersz G. Kohna p. t. „Gdzie my dziś“ z rozdzierającą uszy zwrotką: *A imion* dość, *a imion* aż zawiele *Imiona* są itd. z żalami za *tradycyą* cnot,“ za *tradycyą* czynów (?) i tym podobnymi zabytkami dawnych szczęśliwszych czasów. Koroną *Rocznika* jest końcowy ustęp, zawierający nowości literackie i nekrologię.

W tej ostatniej pomieszczeni tylko ci zmarli, którzy mieli zaszczyt należyć do współpracownictwa *Sobótki*, a to z tej racyi, że redaktor *Roczników samborskich* w tej książce pamiątkowej pierwszą swoją pracę polską umieścił...“ Z końcowego sprawozdania dowiadujemy się, o „ostatе-

cznym wyniku“ wydawcy, który cały dochód z rozprzedaży *Roczników* przeznacza dla dwóch towarzystw dobroczynnych samborskich (po 25 zł.!) Ten smutny rezultat przypisuje on naiwnie „wielkiej ilości przedpłacicieli, którzy sobie kpią i z celów wydawnictwa i z wydawnictwa samego,“ grożąc wydrukowaniem ich zacnych imion jako „krzywdzicieli celów dobroczynnych.“

Z pośród tego literackiego śmiecia należy podnieść artykuły popularne, mające pewną praktyczną wartość, jak dr. Zippera o pomniku Brodzińskiego w Tarnowie, albo artykuł Soleckiego architekta o budowlach pamiątkowych w Galicyi, skąd dowiadujemy się między innemi o nadaniu jeszcze za czasów polskich Drohobyczowi prawa propinacyi na utrzymanie kościoła miejskiego. W jaki sposób miał dom boży uszlachetniać mieszkańców, gdy we własnym interesie musiało mu zależyć na rozpijaniu owieczek—to już tajemnica pasterzy dusz. Na zakończenie przytaczam wyjątek z pięknego wiersza panny J. Antonowiczówny, jedynej rzeczywiście utalentowanej autorki z tego prowincyonalnego grona.

ZWĄTPIENIE.

Orle to były, sokole loty
Za młodych lat
Gdy natchnień jaśniał dla mnie wiek złoty
Szczęścia lśnił kwiat.

. . . .

Nie straszne były grzmotów odgłosy
Ni fale chmur
Odważną byłam patrząc w niebiosy
Wolną wśród gór.

. . . .

Lecz czas ubiegał i więdły kwiaty
Mych barwnych róż
Listek za listkiem leciał skrzydlaty
Na falach burz.

Za każdym listkiem biegła część życia
I uczuć skarb,
Twarz się starzała jak listki kwiecia
Wybladłych farb.

I nic już w koło—nic prócz cmentarza
Wichrów i burz
I jedną pleśń mi ucho powtarza
Że jesień już.

Z.

LIBERUM VETO.

Zmiany w naszej naturze. — Gorąca kasza i dmuchanie.—Niewinny wyraz.—Sikawki. — Niespodziewany prezent, czyli 15 milionów rs. zysku w ciągu 11 dni.— Spodziewany dar większy. — Zimna krew. — Obraza naszych ilustracyi. — Co mówił rębajło. — *Zdrowie.* — Kto je ceni. — *Gazeta losowań* i jej przestroga. — „Lutnia.“

Uprzedzić muszę, że jestem stałym wyznawcą mierzenia zamiarów na siły i zasadę tę stosowałem we wszystkich wypadkach, zacząwszy od „pierwszej wyprawy polskiej do Afryki“ a skończywszy na... gdzie chcecie!.. przypuśćmy, na wydaniu kosztem składek polskich angielskiego przekładu *Pana Tadeusza.*

Otóż dnia pewnego—a było to po wybuchu wojny w Tonkinie—spotkał mnie na ulicy jeden z literatów, szukających „pomysłu,“ i rzekł:

— Będzie z tego gorąca kasza, ale trzeba oddziałać na opinię, ażeby ogół przyglądał się wypadkom poważnie i roztropnie.

Wyznaję, że nie zalecałem wówczas ogółowi ani powagi, ani roztropności, gdyż byłem przekonany, że owa „kasza“ gotuje się tylko w wyobraźni mojego znajomego; ale jego troska podobała mi się bardzo. Bo i jakiejże zmianie uległa natura nasza, zwykle „mądra po szkodzie!“ Dawniej, a właściwie niedawno jeszcze, czytywaliśmy obszerne rozprawy, powołujące naród do czujności z powodu... zamieszek w Labradorze, dziś już chcemy oblewać sobie głowy zimną wodą z powodu wojny w Tonkinie! Owa zmiana naszych usposobień, zasad, czy temperamentu uwydatniła mi się wielokrotnie, ale nawet wtedy, gdy była rzetelnie śmieszną, była pocieszającą. Świadczyła bowiem, że rozwija się w nas jakiś nowy zmysł, nieposiadana przedtem rozwaga, trzeźwa rachuba, zajmująca miejsce popędliwości i namiętnych porywów. Naród, który na zimne dmucha, zwłaszcza gdy się na gorącem sparzył, naród, który ogląda się bacznie, liczy ściśle, stąpa ostrożnie — nigdy tego nie żałuje.

To też ma swoją dodatnią stronę świeży objaw, który drugą przylega do humorystyki. Słuchajmy!

„Byle tylko nie przeholować!“ — woła *Dziennik poznański.* „Gdyby idea „odwetu“ i wygnanie tysięcy ludzi niewinnych—pisze Prus w *Kuryerze warsz.*—przyjęła się w naszem społeczeństwie, byłoby to dowodem, żeśmy się istotnie sprusyfikowali, do czego dzisiaj, dzięki Bogu, jeszcze dość daleko. „Odwet“ będzie. Jest on tak pewny, jak słońce na niebie, ale— my go nie stworzymy. Stworzy go natura rzeczy. Jest to bowiem fakt, *stwierdzony* przez historyę, że państwa uciekające się do gromadnych wypędzań są chore, że system wydaleń nietylko nie leczy, ale raczej zaostrza tę chorobę.“ Widzimy to na Francyi, która wygnała hugonotów, i Anglii, która zaludniła Stany Zjednoczone—oba te państwa są albo ciężko „chore,“ albo licho wie, jakim sposobem wyleczyły się. W każdym razie powinniśmy spokojnie wyglądać śmierci Niemiec. Kiedy ona nastąpi? Może za parę tysięcy lat. Zbyt długo? Trudno, „natura rzeczy“ nie spieszy się, zresztą na pociechę w tem oczekiwaniu mamy świetny interes, jaki zrobiliśmy mimowolnie. „Gdyby każdy z owych tysięcy wygnańców wart był tylko 500 rs. (a wart jest ekonomicznie nierównie więcej—według Prusa), wówczas od 1 października do 11 listopada *zyskamy* około *15 milionów rs.*“ Szalonym byłby naród, któryby otrzymawszy w ciągu jedenastu dni „około 15 milionów rubli,“ złorzeczył za to swemu dobroczyńcy. Z drugiej strony przypuszczam, że ks. Bismark, usłyszawszy o naszem zadowoleniu, przyśle nam większy zasiłek z następującym listem: „Miło mi zrobić panom nowy, poważniejszy prezent. Po odtrąceniu poprzednio wygnanych 30,000, zostało w Niemczech (patrz *Tabele* Hübnera) 3,248,000 polaków, których przy niniejszem załączam; ponieważ zaś, według obliczeń Prusa, każdy wart co najmniej 500 rs., ofiaruję wam przeto 1,624,000,000 rs. Zapewniam panów, że za taką sumę zrzekłbym się nawet zwycięskiej wojny z Francyą; mam też nadzieję, że i wy przestaniecie ze mną walczyć. Z najgłębszym szacunkiem *v. Bismarck.*“

Mimo że pociecha ta jest bardzo wesołą, ma ona—jak rzekłem—swój poważny pierwiastek. Zarówno bowiem przestroga *Dziennika pozn.* jak wywody *Prusa* przekonywają, że mamy już dużo zimnej krwi, a taka jej temperatura jest potrzebną— w polityce.

Tylko brakiem tej zimnej krwi wytłomaczyć sobie mogę gniew kilku pism naszych na niemiecką *Zukunft* za jej uwagę o upadku polskiej sztuki w ilustracyach. Upadek ten bowiem jest faktem. Jeszcze przed kilku laty widzieliśmy na tem polu postęp, wzmocnione usiłowania, piękne owoce — dziś tandetę rzadko przeplata istotna praca i talent. Wydawcy usprawiedliwiają się małym zastępem abonentów, rysowników i drzeworytnicy — niską płacą. Matejko, który dawniej ukazywał się często, dziś występuje jedynie przed nowym rokiem, jako przynęta. Poprzednio zrobiłem zarzut Kostrzewskiemu, że rozleniwił się. Odpiera on go w liście i objaśnia, że jego prace długo wyczekują „w zapasie“ wydawców. Czemu? Na rynku, którego hasłem: „tanio i źle,“ Kostrzewski musi być za drogi. Rzeczywiście wszystkie podobno ilustracye w Warszawie nie pokrywają swych kosztów prenumeratą. Winna temu publiczność, która zaprowadza coraz większe oszczędności w wydatkach na literaturę, ale winien również jednorodny charakter naszych pism ilustrowanych. Dosadnie wyłożył mi to kiedyś pewien wiejski rębajło:

— Proszę pana — mówił on — już tych rysunków gór, rzek z krzakami i kościółków napatrzyliśmy się dosyć. Pismo bieżące ma za zadanie ilustrować chwilę bieżącą. Biorę gazetę do ręki i czytam: „Statek angielski „Sułtan“ przebił niemiecką „Cymbrię,“ która zatonęła z całą załogą; ratunek na łodziach utrudniali żydzi polscy, którzy przeładowywali je swojemi pierzynami;“ albo: „Osman okopał się w Plewnie i odpiera wszelkie szturmy.“ Naturalnie spodziewam się, że moja ilustracya da mi rysunek zatonięcia „Cymbryi“ i oblężenie Plewny. Czekam tydzień, dwa, trzy, cztery — daremnie; co zajrzę, to kościółek w Kwaśnej wólce, to kościółek w Słodkiej wólce, to kościółek w Gorzkiej wólce, to dwór w Żytniówce, to dwór w Owsiance, to gołębnik w Łysem polu itd. Co mi z tego, że przyjdzie kolej również na mój dwór, na mój kościółek i gołębnik, kiedy nie *widzę* Europy, o której ciągle *słyszę.* Ilustracye angielskie, francuskie, niemieckie to właśnie dają swym czytelnikom — i dlatego są chętnie prenumerowane.

Zdaje mi się, że mój rębajło miał słuszność.

Miara naszej prasy nie była jeszcze pełną, skoro będzie obficie dolana w jesieni i zimie. Odradza się *Zdrowie* i rodzi się *Gazeta losowań.* Pierwsze ma być, jak było, przewodnikiem hygienicznym. Radziło ono wszystkim, tylko nie umiało radzić sobie — i zmarło na suchoty po krótkiem życiu. Czy po zmartwychwstaniu będzie szczęśliwsze? Dr. Polak (redaktor) o tem nie wie — a ja tem mniej. Ja tylko wiem, że świętą prawdą na długo pozostaną u nas słowa Kochanowskiego: „szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż się zepsujesz.“ Przeważnie u nas zdrowie cenią tylko chorzy — lub: matka płacząca nad wynędzniałem dzieckiem, mąż mający słabowitą żonę, brat podpierający wątłą siostrę. O zabezpieczaniu zdrowia, o wzmacnianiu go — rzadko kto myśli. Można spotkać ludzi ukształconych, którzy nie wierzą, ażeby człowiek zużywał więcej stóp sześciennych powietrza niż wody. Na wielkie też powodzenie *Zdrowia* wydawca liczyć nie może, chociaż, wnosząc z naszej statystyki śmiertelności, powinienby zyskać niezwykłe. Szkoda, że umarli nie prenumerują.

Gazeta losowań radzić będzie mniej lub więcej szczęśliwym tego świata, gdzie najzyskowniej i najbezpieczniej umieszczać swoje kapitały. Naturalnie życzę wam czytelnicy, ażeby na was często spadały tego rodzaju kłopoty i ażeby p. Adolf Peretz pomyślnie je usuwał. Tymczasem ostrzega on tylko, że nie należy łudzić się wysokim kursem prowincyonalnych listów zastawnych Towarzystw miejskich. Kto się łudził, nie wiem — więc nie wiem, kto został rozczarowany.

Do Warszawy przybył chór towarzystwa lwowskiego „Lutnia,“ który, jako

niewypędzony z Niemiec, przyjęliśmy bardzo obojętnie. Ponieważ przytem p. Z. Noskowskiego wykurzyliśmy z dyrektorstwa za lekceważenie chórów, które nam szczególnie leżą na sercu, więc zamawiamy sobie u potomności dyplom honorowy za „wytrwałą pracę w jednym kierunku“ i — konsekwencyę.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Powrót do domu i rozczarowanie wieśniaków radomskich. — Komentarz do tej sprawy. — Artykuł p. Filipowicza w *Gazecie polskiej*. — Nieśmiertelność podlejszego gatunku. — Nadużycia wójtów. — Echa z Mińska i z Wilna. — „Jeleń pod Płockiem.“

Nieudatne próby cywilizowania Syberyi przez chłopów koneckich skończyły się odwiezieniem wędrowców do domu. Jeszcze przed ich powrotem nadeszła do powiatu koneckiego wiadomość o smutnym przebiegu sprawy, ludność jednak miejscowa nie przestawała rozprawiać o korzyściach otrzymania darmo działów ziemi, choćby w oddalonych guberniach. „Z całej tej przygody—czytamy w *Kuryerze codziennym*—najoryginalniej wygląda fakt, że wielu z bardziej upartych wędrowników nie chciało wierzyć, iż powracają do stron rodzinnych; myśleli oni, że, bądź co bądź, kolej wiezie ich darmo do upragnionego celu życzeń... Dopiero widok Radomia wyprowadził ich z błędu i rzeczywistość im okazał.“ Jeżeli wiara w rzeczy niemożliwe znajduje się w stosunku prostym do naszej chęci wcielenia ich, to łatwo przedstawić sobie, jak gorąco pragnęli włościanie owej ziemi przez doradców pokątnych im obiecanej. Nie roskosze paryskiego *demi-monde'u*, nie powaby Monaco, nie cygańska chętka wycierania cudzych kątów, wywabiła ich z domu: szukali pracy, której pot byłby mniej krwawy, owoc nie tak cierpki; nie ich wina, że dążności podobne są dziś jeszcze płochem marzeniem.

Jeżeli wierzyć mamy pismom—marzeń tych długo, długo urzeczywistnić nie będzie można: narzekania na biedę i jej następstwa dolatują nas z wielu stron kraju. Dochody ziemian zmniejszają się gwałtownie, ceny ziemi spadają. „W dochodach cała siła regulacyi zobowiązań, dobrych stosunków, wynagrodzenia pracy itd., to też gdy nam tej siły zabrakło, wszystko się łamie i na wspak przewraca. W sądach spraw pełno, a krzywych, opartych na wybiegach, podejściu—coraz to więcej. Nie trzeba nawet pokątnych doradzców, żeby przyczynę znaleść i obmyśleć dla niej przejście możliwe; sami potrafimy planikom takim drogę torować.“ Tak woła przasnyski korespondent *Gazety warszawskiej*. Że siła naszego ziemiaństwa tylko w dochodach spoczywała, o tem przekonaliśmy się oddawna. Przez lat przeszło dwadzieścia ani energia w pracy, ani wykształcenie, ani silne poczucie obywatelskich obowiązków—nie potrafiły zrównoważyć straty owych dochodów. Dostarczając powieściopisarzom typów „wykolejonych,“ „letkiewiczów,“ „bankrutów,“ zachwycaliśmy się i zachwycamy swoistością postaci, ich niepoczytalnością moralną ich „poczciwym gruntem,“ na którem zresztą wszelka niecnota krzewić się mogła pod wpływem czynników „obcych,“ pod działaniem „pierwiastków rozkładowych“ i innych strachów. Pomimo to jednak naiwne wyznanie korespondenta rani nas boleśnie: czyż naprawdę „cała nasza siła w dochodach?“ i czyż dla powiększenia ich nie nam nie pozostało oprócz „wybiegów i planików?“ Potężnym środkiem podniesienia majątkowego dobrobytu i czystości obyczajów mógłby być nasz samorząd gminny, gdyby zasada jego zbyt często nie ulegała parodyi, gdyby ciemnota mas nie odbierała im możności kontrolowania na wpół oświeconych przewodników—wójtów. Niski stan umysłowości narodu, jako przyczyna bardziej ogólna, nie może się zmieścić w głowach naszych socyologów, którzy w tłomaczeniu zjawisk społecznych nie wychodzą z zaklętego koła pojedyńczych faktów i złej woli jednostek. Ta powiatowa logika prowadzi zwykle do wniosków na niekorzyść oświaty. Jeden z korespondentów *Wieku* dowodził niezbyt dawno, że przyczyna złego spoczywa w małem wykształceniu wójtów; posłyszawszy o tem, drugi pospieszył donieść, iż „w pewnych wypadkach trochę wykształcenia wpływa nawet ujemnie na charakter tego rodzaju (złych) ludzi,“ gdyż oto „u nas w Piotrkowskiem są wójtami po większej części ludzie umiejący czytać i pisać“ a jednak źle jest wszędzie. Sądziłbym, że słuszności żadnemu z korespondentów przyznać nie można. Naturę złego wyświetla najlepiej historya nadużyć, przez jednego z nich przytoczona. „Pełnomocników gminnych mamy, lecz ci są wybrani z pomiędzy włościan, serdecznych przyjaciół wójta, i nie bronią mu brać pieniędzy z kasy pożyczkowej i używać takowych na zakupno gruntów i do różnych spekulacyj. Tym sposobem w ciągu lat trzech wójt przychodzi do kilku włók własnej ziemi, do kilku murowanych domów w osadzie.“ Widzimy tu, jak zaraza biurokratyzmu wciska się do warstw, gdzie największe szczerby może porobić; widzimy, jak przyczyny ogólne stwarzają grunt odpowiedni, gdzie wszelkie robactwo lęgnąć się będzie, jak ciemnota powszechna obezwładnia tych, którym prawo nadaje fikcyjną możność obrony. Wobec tego bezpośredni wpływ jednostki przedstawi się nam jako czynnik, z którym, gdy jest ujemny, walczyć niepodobna, kiedy zaś dodatni—rachować nań długo nie należy. Człowiek uczciwy, stojąc przez dłuższy czas na takiem stanowisku, gdzie można być łotrem bezkarnie, narażony jest na pokusy, którym w większości wypadków ulegnie. Nie sądzę też że, kiedy „głosy podnoszone w tej kwestyi zwrócą nareszcie uwagę tych, od których głównie zależy wybór wójtów i pisarzy gminnych,“ że wtedy „stan ten zmieni się na lepsze.“ Zmiany tej oczekiwać można nie wcześniej, aż nastąpią w ustroju społecznym inne gruntowniejsze i głębsze, aż samorząd gminny przestanie być dla chłopa niezrozumiałą zagadką. Na barki policyi wszystkiego wkładać nie trzeba, bez tego ma ona u nas wiele pracy.

Wobec szlachecko-policyjnych, traktacików naszych gazet, wobec zamieszczanych na wstępie uroczystych doniesień o katarze ulubionej aktorki—miłą zawsze niespodziankę sprawia czytelnikowi pism codziennych jakaś praca poważniejsza. Takim właśnie charakterem odznacza się rzecz „o płacy robotników wiejskich“ napisana przez p. K. Filipowicza w *Gazecie polskiej*. Jakkolwiek autor nie szczędzi naszym chłopom zarzutów lenistwa, ociężałości i ciemnoty, to jednak przyczyny tych wad szuka bez litości w owym „skromnym“ posiłku (kartofle mąka), którego „poczciwym kmiotkom“ tak zazdroszczą bogacze, „targani tysiącznemi troskami“ o swoje miliony. Przy zwiększeniu siły robotnika „produkcyjność jego pracy podniesie się bardziej, niż w krajach zachodnich, gdyż u nas tamować jej nie będzie jak tam, tak silne wyeksploatowanie gleby. Maksymalna więc granica zarobków nietylko względnie, lecz i absolutnie się podniesie. A że podaż rąk roboczych w naszym kraju nie jest—ogólnie biorąc—tak zawsze obfitą, aby płaca utrzymywać się miała stale około swego minimum, przeto i zarobek dzienny tego robotnika wzrosnąć może aż do tej maksymalnej granicy, dając mu możność lepszej egzystencyi, a pracodawcy nie przynosząc uszczerbku.“ Jeżeli słowa powyższe na zupełne zasługują uznanie, to za to dziwnym się wydaje wniosek, jaki autor z nich wyprowadza. „Przychodzimy więc do przekonania, iż nie w zmianie stosunków ekonomicznych tutejszego kraju, lecz wyłącznie w stworzeniu warunków potęgujących pracowitość, siłę i umiejętność robotnika, leży środek zwiększenia jego dobrobytu.“ Ciekawa rzecz, jak można poprawić los robotnika, zapewnić mu lepsze pożywienie itp., nie zmieniając stosunków ekonomicznych? Wkrótce, w salach redutowych odbywać się ma tombola; czyżby na nią autor rachował?

Jeżeli aż nadto często szukamy naturalnych i nadprzyrodzonych przyczyn niemoralności chłopa, za to z tem większym zapałem podnosimy drobne zasługi panów. Gorliwość ta wzrasta zwykle pod koniec kwartału, jakkolwiek ani św. Jan, ani Michał—nie byli i nie są patronami służalczości. Kilku ziemian ofiarowało pomoc sąsiadowi, zrujnowanemu przez nieurodzaj i grady; redakcyi *Wieku* zdaje się, że „fakt ten zasługuje na wyróżnienie lubo nie jest oderwanym, lecz łączy się z innymi objawami tegoż rodzaju.“ Kiedy w przeszłym tygodniu współpracownik tego pisma chwalił się, że nie wziął łapówki—byliśmy zmuszeni darować mu to ze względu na pożytek ogólny; dziś jednak „nawet ciężkie ekonomiczne warunki“ nie mogą usprawiedliwić w naszych oczach szlachcica, który nie ma nic pilniejszego do roboty, jak donieść ojczyźnie, że pożyczył sąsiadowi 100 rubli. Takie obniżanie ideału obowiązków obywatelskich „prowadzi daleko prędzej do zbydlęcenia,“ niż np. anatomia porównawcza małpy i człowieka. Wkrótce każą nam czytać: „Lichwiarz X. obniżył stopę procentową z 240° do 120°... fakt ten zasługuje itd.“ będzie to jednak „nieśmiertelność gorszego gatunku.“ Jakie fakty zasługują u nas na odszczególnienie, jakie zabierają miejsce w dziennikach ze szkodą zagadnień poważniejszych, przekonać jeszcze może „Jeleń pod Płockiem.“ W okolicach tego miasta złapano żywego jelenia, który „pędzony i straszony dostał się w opłotki i... w niewolę.“ Nieszczęśliwe „opłotki“ i efektowne przejście od nich „do... niewoli“ znalazło się niebawem we wszystkich prawie poważniejszych dziennikach. „Pędzony i straszony“ woła *Gazeta warszawska*, „w opłotki... w niewolę“ czytamy w *Wieku*, „osadzono rogacza w stodole“ mówi do rymu *Gazeta pol.* Redakcye nasze „straszone i pędzone“ brakiem prenumeraty, schlebiając ciekawości gapiów, wpadają ciągle w „opłotki“ zaściankowych spraw i zagadnień.

Z wystawy wileńskiej wieści dochodzą nie złe. Ludność miejscowa, oceniając pożytek, odwiedza ją tłumnie; wyjątek stanowią żydzi. Sama jednak wystawa o ile wiemy z gazet—wielkiem bogactwem się nie odznacza; hodowla koni roboczych na Litwie i owiec, gdyby o niej z „wystawy“ sądzić wypadło, nie dałaby nam prawa do tryumfów. W szeregu wzmianek o dalszych miastach prowincyonalnych zasługuje na uwagę głos z Mińska. Skarży się on, jak zwykle u nas—na brak miejsc w szkołach rządowych: większa część dzieci, składających egzamin, do domów powrócić musiała.

J. Nieborski.

TYDZIEN POLITYCZNY.

Warszawa, d. 1 października.

Bieg wypadków na półwyspie Bałkańskim nie rozwija się tak szybko, jak można

było oczekiwać. Przewidywano w pierwszej chwili albo wojenną interwencyę Turcyi, albo szerszy udział w buncie ze strony Serbii, Grecyi, Rumunii itd. Turcya jednak zachowuje się dotychczas biernie. Chory człowiek z nad Bosforu czuje dobrze, że wszelki ruch nadmierny, wszelka wysiłek o śmierć przyprawić go może, że zjednoczenie obu Bułgaryi to prawie początek końca, że nie pozostaje nic innego jak tylko oszczędzać resztki sił i przybrać jeszcze przed skonaniem pozory martwoty.

Na zachowanie się drobnych państewek bałkańskich dyplomacya wywiera dotychczas wpływ poskramiający. Obietnica zarówno jak i groźby puszczone zostały w grę, aby utrzymać względny spokój, aż do chwili zebrania się zapowiadanej konferencyi europejskiej. Czy konferencya ta, którą co chwila z Berlina do Paryża, z Paryża do Wiednia, a z Wiednia do Konstantynopola przenoszą, ostatecznie odbędzie się, rzecz to wątpliwa, a bardziej jeszcze wątpić można, aby na tej drodze osiągnięto jakieś rezultaty. Interesy są tu zbyt sprzeczne i powikłane, a namiętności zbyt wzburzone, aby zebranie dyplomatów mogło wszystko pogodzić i wszystko zażegnać. Serbia, Grecya, Macedonia, Rumunia wstrzymują się teraz od działania, gdyż spodziewają się coś dostać. Lecz wszystkich tych roszczeń niepodobna będzie zadowolić, a wtedy strony pokrzywdzone poczują skłonność do stworzenia z bronią w ręku za przykładem Bułgaryi „faktu dokonanego,“ który Europa będzie później musiała uznać.

Niecierpliwsze żywioły, nie czekając konferencyi, zabierają się już do „dokonywania faktów.“ Plemie mirydytów, skwapliwie korzystające z każdej zawieruchy dla rozpoczęcia ruchu na pół patryotycznego, na pół rozbójniczego, wystąpiło na scenę i zaznaczyło swe prawo do samodzielnego istnienia zrabowaniem do szczętu tureckiego transportu. Na granicy Macedonii pojawiły się już bandy zbrojne, i choć kilkunastu przywódców i agitatorów aresztowano, lecz o nowych nie trudno, jeżeli nawet starzy swobody nie odzyskają. Rumunia zajęła już dawniej Arab-Tabię i nie daremnie wzmacnia Dobrudżę. Serbia zmobilizowała znaczną część armii, której siły wyniosą 80,000 ludzi i dla prędszego przygotowania się do walki, wstrzymała nawet ruch towarowy i pasażerski na drodze prowadzącej do Niżu. Grecya wysyła wciąż wojska ku granicy Tessalii i Epiru, a nowy gabinet turecki tymczasem wyczekuje pomyślniejszego zbiegu okoliczności. któryby pozwolił Turcyi na kimkolwiek się oprzeć, do kogoś się przyczepić, gdyż o własnych siłach kroku jednego postąpić państwo to nie może.

Wśród wrzawy politycznej zaledwie dolatują echa robót przedwyborczych z Anglii i Francyi. O ile się zdaje, i tu i tam żadne stronnictwo silnej przewagi w parlamencie nie uzyska, i tu i tam kosztem innych partyj radykalizm polityczny się wzmoże. Przywódca radykałów angielskich Chamberlain wypowiedział mowę polityczną, w której żąda rewizyi obecnego systemu opodatkowania, wolności gmin i wprowadzenia bezpłatnej nauki szkolnej. Na autonomię Irlandyi radykalista angielski nie zgadza się — cały więc program uchodziłby na lądzie stałym za bardzo umiarkowany.

W Paryżu kłótnie stronnictw republikańskich dosięgły szczytu. Nietylko rozbiły się układy między komitetem oportunistycznym, któremu przewodzi senator Tolain, a radykalnym z Clemenceau i Manjan na czele, lecz i ci ostatni również się poróżnili, tak iż obecnie istnieją w Paryżu trzy republikańskie wyborcze komitety i o zbiorowej liście kandydatów nie może być już mowy.

Niemcy mają głowę zabitą gwoździem, którego wyjąć nie mogą. W sporze o wyspy Karolińskie Bismark wybrał czy przyjął na sędziego — papieża. Trzeba widzieć wytrzeszczone oczy dzienników konserwatywnych i narodowo-liberalnych. Z początku próbowały one pocieszać się, że „za tem cóś tkwi,“ że jest to niezawodnie jakiś gienialny figiel kanclerza, ale tymczasem nasuwają im się obawy bardzo poważne. Mianowicie, oddanie sprawy pod rozstrzygnięcie papieża, przywróci mu — mówią strapione gazety — średniowieczny blask, uzuchwali katolików, potwierdzi słowa Windhorsta, że światem rządzi Stolica Apostolska. Że te obawy nie są płonne — zaprzeczyć trudno, I kto wie, czy zamiast „gienialnego szachu“ nie mamy przed sobą przemądrzałej rachuby człowieka, który igra z niebezpieczeństwami.

Wiedeń. Poczynającego się ruchu nie zdołano stłumić w Albanii, w której już — jak mówi telegram — „grzmią działa.“ Jednocześnie zamiar Serbii wyzyskania ruchu na swą korzyść odsłania się coraz bardziej. Celom jej pożądań jest t. z. „Stara Serbia.“

Moskwa. Według „Agencyi północnej *Mosk. Wiedomosti* dowodzą teraz, że przywrócenie *status quo ante* na półwyspie bałkańskim winno być dokonane nie przez unieważnienie dokonanego zjednoczenia Rumelii z Bułgaryą, lecz za pomocą odpowiedniej reorganizacyi ich zewnętrznych i wewnętrznych stosunków. Reorganizacya taka będzie możliwą bez uciekania się do interwencyi zbrojnej w takim tylko razie, jeśli na czele zjednoczonej Bułgaryi nie będzie stał awanturnik, lecz prawdziwy mąż czynu. Wszelkie usiłowania powrotu do zewnętrznego *status quo ante* na innej drodze przyczyniłyby się tylko do utrzymania w wielkiem naprężeniu wszystkich zainteresowanych żywiołów miejscowych. Obawa wywołania dalszych wybuchów na półwyspie bałkańskim nakazuje trzymać się ściśle brzmienia traktatu berlińskiego, bez zamiarów (?) poprawiania jego widocznych błędów. W przeciwnym razie sprowadziłoby się tylko oczekiwany w powszechnej trwodze „początek końca“ i wywołało nieuniknioną konieczność zastąpienia postanowień traktatu berlińskiego zupełnie innym porządkiem rzeczy i to prawdopodobnie nietylko na samym półwyspie bałkańskim.

CUDZE GŁOSY.

Dziennik poznański, zalecając umiarkowanie w sprawie wygnańców, powiada:

„Nie należy wątpić, że sprawa ta wejdzie na porządek dzienny sejmu Rzeszy, i to w duchu nam z pewnością nie nieprzyjaznym. Jeżeli liberalizm nawet niemiecki wywołuje w ocenianiu tej sprawy cienie Filipa III i Ludwika XIV, jeżeli domaga się natarczywie pomocnej interwencyi sejmu, dowodzi to wyraźnie, jak dalece praktyka ta jest z każdym dniem mniej popularną, jakim ostatecznie rozstrojem grozi między opinią publiczną a oficyalizmem, kto wie, czy nie między nim a sejmem. Trudno zataić prawdę, że owa polityka proskrypcyjna zrobiła, jeżeli wolno użyć w tak poważnej sprawie tego wyrazu, fiasco wobec sumienia i sądu opinii publicznej, że jej trudno trochę o adwokatów, że sama *Norddeutsche Allgemeine Zeitung* coraz „cieniej śpiewa,“ że inicyatorowie i rzecznicy tej smutnej praktyki coraz więcej osamotnieni. Cóżby ich, pytamy teraz w imię zastanowienia i rozwagi patryotycznej, z obecnego kłopotu wobec własnej opinii publicznej wydobyło, coby ich z nią pogodziło, coby im było pożądaną kotwicą ocalenia z cieśni, w jaką się nieprzewidzianie dostali? Naturalnie jakieś wybryki przeciw niemcom gwałtownej natury, jakieś środki zbiorowe, nierozróżniające między winnym a niewinnym, między potrzebą a szykaną, wypadki i czyny po prostu świadczące, że przekraczając granice prawem i słusznością dozwolonej obrony własnej, społeczeństwo nasze wpada w zastawioną sobie podstępnie przez przeciwnika pułapkę i zaczyna, bez środków nawet odpowiednich do tego, bawić się w eksperymenta rasowej walki. Jakimże głosem radości odezwaliby się natenczas w sejmie i prasie inicyatorowie i rzecznicy zwracającej się przeciw nam prześladowczej polityki! z jakimże pochopem spieszyliby uczynić ze skutku przyczynę, przedstawić własny drakonizm jako naturalne następstwo „prześladowczości słowiańsko-polskiej!“ jakże wybornie umieliby poruszać przeciw nam bezkrytyczną, łatwowierną opinię, obrócić przeciw nam prąd, który dzisiaj na naszą korzyść się zwraca!

Umiejmy choć raz korzystać z nadarzającej nam się może dobrej sposobności. Sprawa wydalań, jeżeli się mocno nie mylimy, zapowiada, iż się stanie kością niezgody między opinią publiczną i reprezentacyą kraju niemiecką a polityką. która podobną procedurę z nadwerężeniem prawa konstytucyjnego podjęła. Nie nam zaiste jakąbądź niewczesną porywczością lub niewcześnie wznoszoną wrzawą podawać deskę ocalenia z kłopotu tym, którzy się nad nami znęcają. Brońmy się w granicach koniecznej potrzeby, to nasz obowiązek; ale nie przeholujmy, bo to byłoby bez najmniejszejszej praktycznej korzyści, z wyraźną już tylko naszą szkodą. Miejmy i w tym wypadku naszą sprawę czystą.

PRASA ROSYJSKA.

Wypadki na wschodzie pochłonęły całkowicie uwagę gazet rosyjskich. Polska intryga znikła chwilowo ze szpalt tych pism, ustępując miejsca europejskiej, dążącej do zmniejszenia wpływu Rosyi na oswobodzoną przez nią Bułgaryę.

Przytoczmy kilka głosów z tego chóru: *St. Petersburgskie Wiedomosti* dowodzą:

„Jest polityka szerokich poglądów, daleko sięgająca wzrokiem, silna, wspierająca się na głęboko uznanej, organicznej idei, a jest znowu polityka maleńka osobistej rachuby i widoków, czulsza na ukłucie szpilki, aniżeli krwawą ranę. Wielka polityka mówi, że Rosya winna zachować swoją zbawczą rolę w Słowiańszczyźnie, ponieważ ta rola tylko utrzymuje ciążenie słowiańskie do Rosyi; a bez ciążenia nic jej po Słowiańszczyźnie w stosunkach międzynarodowych. Wielka polityka mówi, iż żadni Battenbergowie, Milanowie i Karawelewowie nie mają wagi dla Rosyi, póki w łonie Słowiańszczyzny tkwi przeświadczenie o szerokiej, kierowniczej roli państwa rosyjskiego; przeciwnie nabierają oni wielkiej wagi i siły, jak tylko słabnie głos samoistny Rosyi w chórze europejskim. Wielka polityka mówi, żeśmy utracili swoją powagę w Serbii, gdy Austrya dążyć zaczęła do pochwycenia od Rosyi jej znaczenia słowiańskiego; że odtąd upada powaga nasza w Czarnogórzu i że możemy niepowrotnie stracić Bułgaryę, jeżeli damy poznać, że wyrzekamy się ostatecznie idei z r. 1877.“

W tym samym duchu *Ruś* przemawia:

„Przywracanie *status quo ante* byłoby i niedorzecznem i niemożebnem; znaczyłoby to: oddanie sprawy z rąk własnych do obcych. A trzymać ją powinny ręce nasze — i to mocno trzymać. Rosya nie może przyzwolić na to, żeby półwysep Bałkański, gnębiony od zachodu przez ekonomiczny, wyznaniowy i cywilizacyjny najazd Austryi, burzony wewnątrz przez wszelakie wrogie dla Rosyi, a tem samem i dla rzeczywistych interesów narodów słowiańskich żywioły, wymknął się ze sfery wpływu rosyjskiego! Ażeby mocno ująć sprawę, Rosya powinna zdobyć twarde strategiczne na półwyspie Bałkańskim stanowisko, a mianowicie na Bosforze — stanowisko, któreby pozyskało dla niej na półwyspie dominującą pozycyę. Ale nie odkładajmy, gdyż może być zapóźno! W przeciwnym razie wszelkie też inne zmiany w traktacie berlińskim przy-

niosą nam i Słowiańszczyźnie szkodę, nie zaś pożytek.“

Sowremiennyja Izwiestia starają się już nie Bułgaryi, lecz Turcyi na intrygę Europy otworzyć oczy:

„Rosya do zaborów nie dąży; o tem sułtan powinien być przekonanym. W interesach jej leży taki ustrój posiadłości otomańskich, wobec którego naturalnie prawa ludów byłyby, o ile możności, pogodzone z interesami panowania otomańskiego. Inaczej jest z Austryą: jej celem samolubna tyrania wraz z całkowitą dymisyą sułtana. Jedyny osobisty interes, zresztą o charakterze czysto obronnym, polega dla Rosyi na cieśninach. Jeżeli wszelakoż prawdą jest, czemu skłonni jesteśmy uwierzyć, że za Bośnię, Hercegowinę i Albanię wraz z Macedonią gotowe są mocarstwa zachodnie dać Rosyi Konstantynopol, tedy czyż nie dogodniej byłoby dla stron obu: i dla Porty, i dla Rosyi, ugodzić się bezpośrednio o cieśniny, aniżeli dla tamtej: oddać, a dla tej: wziąć miasto Konstantynopol, nawet nieprzedstawiające samo przez się nic szczególnie pociągającego — za taką wysoką cenę i pod takimi barbarzyńskimi warunkami, jak ujarzmienie ludów.“

Wogóle zachowawcza część prasy rosyjskiej niezadowoloną jest ani z Europy, ani z Bułgaryi, ani z Turcyi a już najmniej z księcia Aleksandra bułgarskiego.

Oto co pisze o nim *Nowoje Wremia*.

„Aleksander macedoński przeciął węzeł gordyjski, Aleksander bułgarski — przeciął berliński. Niech tylko teraz Aleksander bułgarski zabierze Macedonię i wtedy bułgarowie nazwą go macedońskim. I będzie dwóch Aleksandrów macedońskich — pierwszy i drugi.

Co nagle, to po dyable. Książę bułgarski zaszkodził dalszym losom Bułgaryi swym pośpiechem i dał możność przeciwsłowiańskim żywiołom wmieszać się w sprawę odrodzenia Bułgaryi. Bułgarya jest nam bliska, ale losy jej nie są dla nas związane ściśle z losami księcia Aleksandra.“

Tylko *Nowosti* ujmują się za księciem battenbergskim.

Oto ich słowa:

„Nie łudźmy się; dwie są przed nami drogi: albo połączymy się z Europą i zabierzemy się do poskramiania oswobodzicieli bułgarskich — zburzymy dzieło własnych rąk naszych; w razie takim Rosya zerwie węzły duchowe, zacieśnione dziś między narodem rosyjskim i bułgarskim, a nietylko między tymi dwoma narodami, lecz też między Rosyą i słowianami bałkańskimi wogóle, ci bowiem ostatni przekonają się, że w sprawie oswobodzenia swego nie powinni liczyć na Rosyę; albo otwarcie i mężnie uprawnimy dokonany w Bułgaryi fakt, wraz ze wszystkiemi jego następstwami, a wówczas Europa i cały wschód słowiański będą wiedziały, że Rosya nigdy z prostej nie zbacza drogi, jako wytkniętej dla niej przez dzieje. Jest to jedyna droga ocalenia. Zabezpieczy ona dla nas sympatye bałkańskich słowian i wszczepi w Europę obawę okropnych skutków pożaru na całym półwyspie Bałkańskim i groźnej walki z powodu ostatecznego podziału cesarstwa tureckiego. Pokojowe załatwienie trudności dzisiejszych, jeżeli możebnem jest ono, dojść zdoła do skutku tylko po stanowczem oświadczeniu przez Rosyę, że nikt Bułgaryi nie śmie dotykać prócz samej Rosyi i że ta ostatnia dlatego jej w chwili obecnej nie dotyka, iż spełnione tam fakty, chociaż były dla Rosyi niespodzianką, są zgodne w zupełności z widokami jej politycznymi, z jej dziejowemi tradycyami i dążnościami ludu rosyjskiego.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. Świeżo wystawiony na scenie Teatru letniego dramat Erckmana-Chabrian'a *Rodzina Rantzau* jest utworem szlachetnym i posiadającym dużo piękności. Akcya tej sztuki toczy się w ustroniu górskiem, w Alzacyi, i opiera się na czynnikach bardzo prostych, wyzyskanych przez autorów ze spokojnym artyzmem. Chodzi tu o nienawiść dwu rodzin, które się godzą pod wpływem miłości wykwitłej w sercach młodzieży. Treść prosta, a jednak wzruszająca, charaktery malowane prawdziwie, efekty sceniczne wydobywane bez naciągania, dyalog ubogi pod względem stylistycznym, ale prowadzony swobodnie i szlachetnie—zalecają ten prosty a piękny dramat, który jest rodzajowym obrazem, pełnym prawdy, skończonym i wdzięcznym. Sztukę wykonano z prawdziwym artyzmem. P. Rapacki charakterystycznie pojął i odtworzył świetnie nakreśloną postać nauczyciela, która drgała typową prawdą, p. Leszczyński wywołał swą dosadną energiczną grą wielkie wrażenie—role kochanków oddali szczęśliwie p. Kotarbiński i panna Czaki, której gra prosta szczera i szlachetna, zasługuje na pochwałę. P. Śliwiński dobrze, we właściwym tonie, zarysował niesmaczną postać leśniczego, a panna Micińska jako Newata stworzyła wierną podobiznę zgrzybiałej staruszeczki.

Zakaz. W dwóch pierwszych pogranicznych pasach władze miejscowe wstrzymały czasowo wydawanie pozwoleń obcym poddanym na budowę nowych lub rozszerzenie istniejących już fabryk.

Zarządy niektórych kolei żelaznych otrzymały od swoich zwierzchników polecenie stosowania taryfy wojskowej do przewozu wygnańców pruskich. Wynosi ona czwartą część zwykłej.

Własność ziemska w gubernii kieleckiej podług narodowości rozdziela się tak: w posiadaniu polaków znajduje się 641,568 $^1/_2$ dziesiatyn, w posiadaniu rosyan wraz z przestrzeniami należącemi do skarbu 100,459 dz., w posiadaniu cudzoziemców 91,360 dz., wreszcie w posiadaniu izraelitów 25,585 dziesiatyn.

Biuro meteorologiczne, utworzone niedawno dla potrzeb cukrownictwa, zacznie działać w pierwszych dniach października.

Wyjątkowe prawa. Czas prawomocności przepisów obostrzonej czujności w guberniach: kijowskiej, podolskiej, wołyńskiej, czernihowskiej i połtawskiej został jeszcze na rok przedłużonym.

Kwestya językowa. Wice-gubernator kurlandzki polecił, ażeby władze miejskie w powierzonej mu gubernii używały w stosunkach z rządem i osobami prywatnemi języka rosyjskiego. Przeciwko temu zaprotestowała rada miasta Windawy i uchwaliła wnieść do senatu skargę.

Mianowania. Profesorowie nadzwyczajni tutejszego uniwersytetu Wolfring, Mikiaszewski i Okólski mianowani zostali profesorami zwyczajnymi.

Szkoła Konarskiego liczy już 150 kandydatów.

Z sal rysunkowych, istniejących przy tutejszem muzeum przemysłowem, korzystało w 1883 r. w oddziale rysunków technicznych 57, a ręcznych 61 osób. Do sali dla kobiet uczęszczało 90 osób.

Szpilka nowe pismo humorystyczne ukazało się we Lwowie.

Osiem pism polskich tygodniowych wychodzi obecnie w Ameryce: *Gazeta polska* w Chicago, *Tygodnik powieściowo naukowy* (przy *Gaz. pol.*), *Gazeta katolicka*, *Dzień święty* (przy *Gaz. kat.*), *Zgoda. Przyjaciel ludu*, *Ojczyzna* i *Tygodnik anonsowy*

Stypendya. Z rozporządzenia ministra oświaty studenci uniwersytetu wyznający wiarę niechrześciańską, nie będą mieli prawa do otrzymywania stypendyów.

Ciężkie czasy. W jednem tylko III gimnazyum przeszło 60 uczniów nie ma z czego opłacić wpisu szkolnego.

Adres w sprawie Kraszewskiego. Księżna Falconieri złożyła bawiącemu w Wenecyi księciu Fryderykowi Karolowi pruskiemu adres, podpisany przez kilku polaków i jej męża, a proszący o ułaskawienie więźnia.

Szkoły. Otworzona w Lublinie z początkiem bieżącego roku szkolnego pensya żeńska p. Daniłowiczowej z rozporządzenia władzy w dniu 22 b. m. została zamkniętą.

Popyt na rzeźników. Do tutejszego urzędu zgromadzenia starszych rzeźników nadeszła aż z Nowoczerkaska piśmienna prośba o przysłanie czeladników rzeźnickich, których tam brak. Zapewniono im wynagrodzenie do 30 rs. miesięcznie ze stołem i stancyą.

W Łodzi powstaje fabryka jedwabiu. Założycielami są obywatele miasta Działoszyna bracia Jakubicz.

Sąd handlowy ogłosił wykaz upadłości w roku zeszłym i okazało się, że pomimo zastoju było tylko 30 bankructw, z których 7 umorzono. W roku bieżącym ogłoszono dotąd tylko 10 upadłości.

Fabrykę chemiczną produktów potrzebnych dla drukarń i farbiarzy założono w pow. częstochowskim.

Banda podrabiaczy banknotów rosyjskich aresztowana została w Londynie. Robota wykonywana była z największą dokładnością, tak, iż nawet przy bacznem oglądaniu trudno było rozpoznać podrobione pieniądze.

Handel zagraniczny Rosyi w lipcu r. b. nie dał pomyślnych wypadków. Według szczegółowego sprawozdania w *Gońcu Urzęd.*, dochody celne, w porównaniu z lipcem 1884 r., zmniejszyły się o 2,369,915 rubli. W ciągu tegoż czasu wywóz przez granicę europejską zmniejszył się o 13,473,000, a przywóz o 22,159,000 rs. w porównaniu z tymże samym okresem 1884 rs.

Lampę naftową płonącą w wodzie, dla użytku rybaków, wynalazł p. M. Girdwojń. Próby odbywają się na jeziorze trockiem, (gub. wileńska).

Dziennik łódzki zaznacza, iż w Łodzi, liczącej 130,000 mieszkańców, w ciągu czterech dni, od 20 do 23 włącznie, w obu parafiach katolickich i w gminie starozakonnych wykazano zaledwie trzy osoby zmarłe, zaś w gminie ewangelickiej w ciągu tegoż czasu nikt nie umarł.

Daltonizm. Na kolei Nadwiślańskiej, podług sprawozdania służby zdrowia tej kolei, na 2,450 urzędników służby drogowej 143 miało wzrok nienormalny, a pięciu niedokładnie rozróżniało barwy.

Mr. Stuart Cumberland, znany odgadywacz myśli, wydaje w Londynie powieść p. t. *Talar i miecz.*

Jubileusz ks. Jan Dzierżona, zasłużonego badacza na polu pszczelnictwa, wynalazcy znanych celów, obchodzono w Niemczech w d. 26 b. m. Dzierżon pisywał po niemiecku, ale z pochodzenia był polakiem, co wyraźnie w swem dziele zaznaczył.

Ludność Wołynia według wyznań rozpadała się w r. 1880 w następujący sposób: prawosławnych 1,492,000 (czyli 74 proc.), katolików 186,964 (czyli 9 proc.), ewangelików 41,976 (czyli 2 proc.), żydów 270,970 (czyli 13 proc.). W r. 1883 stosunki zmieniły się w następny sposób: prawosławnych jest 1,532,387 (czyli 73 proc.), katolików 166,261 (czyli 8 proc.), żydów 288,215 (czyli 14 proc.) i wreszcie ewangelików 86,100 (czyli 4 proc.),

Ludność więzienna. We wszystkich więzieniach cywilnych w państwie rosyjskiem znajdowało się na początku roku 1883 91,560 mężczyzn i 8,958 kobiet, razem 101,518, wraz z 3,500 żon i dzieci udających się dobrowolnie z zesłańcami. W ciągu roku 1883 przybyło do więzień 583,514 mężczyzn i 88,236 kobiet, razem 671,750, a wraz z pozostałymi z roku poprzedniego ogółem przeszło przez więzienia cywilne 773,268 osób płci obojej. Z ogólnej tej cyfry w ciągu roku opuściło więzienia 689,916, a pozostało na rok 1884 razem 83,352 więźniów, czyli mniej o 18,166, aniżeli w roku poprzedzającym. Zmniejszenie to objaśnia się skutkami manifestu koronacyjnego. Pomiędzy więźniami było z początkiem r. z. zostających pod śledztwem 21,851 osób, skazanych na odsiadywanie więzienia 40,167, skazanych na zesłanie 13,381, przesyłanych z więzienia do więzienia 4,622, innych kategoryi 337, osób dobrowolnie towarzyszących więźniom 2,994.

Ze statystyki oświaty. W gubernii grodzieńskiej znajdowało się w r. z. ogółem 986 zakładów naukowych, z których przypada na miasta 316, a na wsie 670, liczba korzystających z nauki wynosiła 32,609 uczniów płci obojga. W liczbie uczących się było: prawosławnych 19,495, żydów 7,126, katolików 5,093, ewangelików 821 i mahometan 74. W stosunku do ludności gubernii grodzieńskiej wypada jeden uczący się na 49 mieszkańców. Sąsiednia gubernia mińska posiada ogółem 290 szkółek ludowych. Uczących się we wszystkich zakładach gubernia ta liczyła 20,331.

Zmarli. Waleryan Podlewski, członek wydziału krajowego.

— Dr. Włodzimierz Przeradzki, niegdyś współpracownik *Gazety polskiej.*

— Ludwik Zieleniewski, jeden z najpierwszych założycieli fabryk rolniczych w kraju.

— Karol Groman, współwłaściciel *Gazety narodowej* a później *Kuryera lwowskiego*—we Lwowie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Prenumeratorowi. Listu pańskiego od pierwszego do ostatniego wyrazu nie zrozumieliśmy.

Bezimiennemu. „Klient“ jest równie nie polskim, jak „kundman.“ Zamiana więc nic by tu nie pomogła, zwłaszcza że wyrazy te nie są jednoznaczne.

Aleks. L. w Warszawie. Źle Pana objaśniono.

Eust. Tak, pierwszym zamachem stanu było zawieszenie konstytucyi.

Wł. Potk. Nie możemy Panu zrobić tej „przyjemności,“ bo musielibyśmy sprawić czytelnikom naszym przykrość.

J. Kuch. Postaraj się Pan nawet zapomnieć, żeś uczuł tę „Tęschnotę“ do poezyi.

W. Tym. Będzie. Dotąd w Warszawie.

X. X. Zlituj się Pan, urządzać w piśmie wystawę kiełbiów literackich! Zostawiamy to innym.

Żmindasowi. Tu objaśnić nie możemy.

OFIARY.

Na wpis dla uczniów. Chrostowski z Bilimbajewskiego Zawodu, kop. 50.

Na pogorzelców Grodna. Halina Krzyżanowska z Humania kop. 45, Walentynowicz z Daszczaty rs. 1, Dr. M. kop. 50.

Na pomnik Mickiewicza. X. Y. Z. rs. 5 kop. 20.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Сентября 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.